



FUNDACJA
IM. STEFANA BATOREGO



Problemy z naszym państwem

www.batory.org.pl

Problemy z naszym państwem

pod redakcją Piotra Kosiewskiego



FUNDACJA
M. STEFANA BATOREGO

Fundacja im. Stefana Batorego

ul. Sapieżyńska 10 a

00-215 Warszawa

tel. (48 22) 536 02 00

fax (48 22) 536 02 20

batory@batory.org.pl

www.batory.org.pl

Opracowanie redakcyjne: Izabella Sariusz-Skąpska

Korekta: Joanna Liczner

Projekt graficzny: hopa studio

Okładka: Teresa Oleszczuk

Zdjęcie na okładce: Artur Widak/NurPhoto

Teksty udostępniane na licencji Creative Commons. Uznanie autorstwa na tych samych warunkach 3.0 Polska (CC BY SA 3.0 PL)



ISBN: 978-83-65882-15-8

Publikacja jest rozpowszechniana bezpłatnie

Warszawa 2018

Spis treści

Aleksander Smolar, Państwo jako wyzwanie	7
Michał Boni, Państwo – zmiany po 1989 roku, kierunki zmian na przyszłość	11
Włodzimierz Cimoszewicz, III RP się nie przeżyła	27
Ludwik Dorn, To, czego zabrakło	33
Joanna Kluzik-Rostkowska, Rządzenie – ciągłość i zerwanie	43
Rafał Matyja, Duchy polskiego państwa	47
Bartłomiej Sienkiewicz, Defekty naszego państwa	55
Kazimierz Michał Ujazdowski, Instytucje i ludzie	61
Dyskusja	65
Michał Boni, Włodzimierz Cimoszewicz, Ludwik Dorn, Joanna Kluzik-Rostkowska, Rafał Matyja, Bartłomiej Sienkiewicz, Aleksander Smolar, Kazimierz Michał Ujazdowski	
Noty biograficzne	83

Państwo jako wyzwanie

Problemy z naszym państwem mają przynajmniej dwojaką naturę. Zachodzące zmiany, ich przyspieszenie, wymagają dostosowania się państwa, aby znaleźć adekwatne odpowiedzi na ewolucję Europy, świata, na postęp techniczny, na nowe zagrożenia i nowe potrzeby obywateli. Jednak poza dzisiejszymi problemami są inne, będące następstwem naszej historii. Pomińmy odległe dziedzictwo demokracji szlacheckiej, zabory, wojny. Zastanawiając się nad dniem dzisiejszym i nieadekwatnością naszego państwa do wyzwań współczesności, nie można zapomnieć o PRL-u. Nie po to, aby postulować kolejną lustrację i dekomunizację. Dla PiS-u najbardziej potępianym obecnie dziedzictwem nie jest czas do 1989 roku, lecz „postkomunizm”, zwany kiedy indziej „III RP”. Natomiast tym, co wymaga i dzisiaj poważnej refleksji, jest struktura i sposób zorganizowania państwa w PRL-u oraz radzenie sobie z tym dziedzictwem po odzyskaniu suwerenności.

Podstawowe funkcje państwa były w Polsce Ludowej spełniane przez aparat PZPR, przez partię rządzącą, ulokowaną poza i ponad formalnymi instytucjami państwa. Oznaczało to, że koniec PRL-u pociągnął za sobą zniknięcie struktury, która kontrolowała i integrowała instytucje państwa oraz społeczeństwo, a także narzucała cele rozwojowe czy edukacyjne zgodnie ze swoimi potrzebami i deklarowanymi celami. Pozytywne konsekwencje pęknięcia w 1989 roku tej „protezy”,

trzymającej w ryzach wspólnotę, są oczywiście: odzyskanie wolności, pluralizm, otwarcie na świat, bardziej racjonalna organizacja gospodarki etc. Często jednak zapomina się – krytykując procesy transformacji – o słabych wewnętrznych mechanizmach integracyjnych, stabilizacyjnych i rozwojowych formującej się nowej państwowości.

Oczywiście, częściowo rolę stabilizacyjną odgrywało, choć w stopniu dalece niezadowalającym, zmieniające się, ale odziedziczone po PRL-u państwo. Funkcję zastępczą pełniły rozwinięte struktury zachodniej demokracji – zarówno NATO, jak i Unia Europejska – wymuszając zmiany i stawiając różne warunki integracji. Rolę zastępczą wobec wypracowywanej własnej strategii odgrywał wreszcie nieuchronnie zaadoptowany imitacyjny model rozwoju. Chodzi tu zarówno o mechanizmy demokratycznego wyłaniania władz różnych szczebli, liberalne normy ochrony jednostek i mniejszości, kontroli władz różnych szczebli oraz model rozwoju gospodarczego, jak i budowanie systemu prawnego.

Wybór imitacyjnego modelu rozwoju jako mechanizmu napędowego polskich przemian był wynikiem braku przygotowania do globalnych przekształceń państwa; natomiast odwoływanie się do wzorów zachodnich, cieszących się wysokim autorytetem, było sposobem na legitymizowanie dokonywanych przekształceń. Wybór tego modelu zmian wiązał się też z historiozoficznym optymizmem panującym wówczas na Zachodzie i u nas. Z przekonaniem, iż przyszłość należy do demokracji liberalnej, do integrującej się Unii Europejskiej, do tendencji globalizacyjnych i integracyjnych, obejmujących nieuchronnie cały świat. Na tle dynamiki tych procesów budowanie i umacnianie państwa narodowego schodziło na dalszy plan, w porównaniu z zadaniami wiążącymi się z rozwojem gospodarczym, integracją europejską i obroną w ramach NATO.

Bezwzględny priorytet dla bezpieczeństwa, dla przemian i rozwoju gospodarczego w oparciu o wolny rynek, dla umacniania systemu

demokratycznego obowiązywał, jak można sądzić, od 1989 do 2015 roku – w latach rządów Platformy Obywatelskiej priorytetem nie były umacnianie czy modernizacja państwa. Dopiero rządy PiS-u oznaczały zmianę: deklaracyjny priorytet dla „silnego państwa” przeciwstawianego „słabemu państwu” poprzedniego dwudziestopięcioletnia. Tyle że rozumienie owej siły i mechanizmów, jakie mają do tego prowadzić, jest specyficzne: utożsamia się je przede wszystkim z przyspieszeniem wymiany elit oraz dążeniem do skupiania maksimum władzy w jednym ośrodku decyzyjnym. Przejawami tego skupiania są: zakwestionowanie trójpodziału władzy, podważanie niezależności władzy sądowniczej, przenoszenie różnych kompetencji z samorządów do administracji państwowej, umacnianie gospodarczej roli państwa, radykalne upartyjnienie mediów publicznych, podważanie (trzeba przyznać: marnie funkcjonującej) służby cywilnej i jej radykalna polityzacja, poddanie polityki kulturalnej, edukacyjnej, naukowej – centralnemu projektowi ideologicznemu.

Problemy państwa pozostają zasadniczym wyzwaniem, przed którym staną przyszłe rządy demokratyczne. Stan państwa i zachodzące procesy jego modernizacji czynić będą z jego radykalnej przebudowy główne zadanie. Od tego zależą będą szanse rozwojowe Polski i jej zdolności dotrzymania kroku zmieniającej się Europie.

W zamieszczonych w niniejszym tomie materiałach z konferencji, którą zorganizowała Fundacja Batorego, wybitni uczestnicy i obserwatorzy naszego życia publicznego podejmują próbę oceny funkcjonowania naszego państwa po 1989 roku: w latach 90. i na początku nowego stulecia, w okresie rządów Platformy Obywatelskiej i obecnie, pod rządami Prawa i Sprawiedliwości. Chodziło nam zarówno o koncepcję, jak i praktykę funkcjonowania państwa. Postawiliśmy pytania o to, jakie były podstawowe wyzwania i z czym sobie nie poradziły kolejne ekipy

rządzące. Jak można ocenić efektywność zmian w funkcjonowaniu państwa w stosunku m.in. do zmian gospodarczych i w sferze czysto politycznej?

Zapytaliśmy także o refleksję na temat słabości – w przeszłości i dzisiaj – w zakresie wypełniania podstawowych funkcji państwa. Co należy zmienić, by nasze państwo wypełniało swoje funkcje? Na ile spełniało i spełnia kryteria państwa sprawnego, przejrzystego, czystego, wrażliwego na demokratyczne procesy decyzyjne? Co oznacza dziś i co oznaczać powinno pojęcie silnego państwa?

Są także inne ważne pytania, które wymagają szerokiej refleksji: na ile państwo może i powinno odgrywać rolę „wychowawczą” w stosunku do społeczeństwa, kształtować tożsamość zbiorową poprzez politykę historyczną, kulturalną i ideologiczną kontrolę procesu edukacji, mass mediów, badań naukowych? Jak z tego punktu widzenia można ocenić model stosunków: państwo – Kościół i praktyczną ewolucję tych relacji?

Do udziału w dyskusji na te wszystkie tematy zaprosiliśmy osoby, które nie tylko od dawna zajmują się problemami państwa, ale też pełniły w różnych okresach po 1989 roku ważne funkcje państwowe. Debatę poprowadziła Anna Materska-Sosnowska, członkini zarządu Fundacji im. Stefana Batorego.

W wydawanej przez nas książce znalazły się teksty powstałe na podstawie wystąpień wprowadzających oraz fragmenty dyskusji. Relacja wideo z całości konferencji jest dostępna na stronie internetowej Fundacji (http://bit.ly/Batory_ProblemyZNaszymPanstwem-omowienie) oraz na kanale YouTube (http://bit.ly/Batory_ProblemyZNaszymPanstwem-wideo).

Michał Boni

Państwo – zmiany po 1989 roku, kierunki zmian na przyszłość

Wiktorowi Osiatyńskiemu

Wiktor Osiatyński potrafił myśleć i mówić o państwie, dostrzegając rozwiązania prawne mieszczące się w konstytucyjnym wymiarze funkcjonowania państwa, a zarazem z wrażliwością na pojedynczego człowieka. Człowieka jako obywatela, pracownika, pacjenta, ojca i męża, matkę i żonę – we wszystkich rolach.

Jemu chciałbym dedykować swoje uwagi. Bowiem gdzieś między prawem, konstytucją a pojedynczym człowiekiem powinno się toczyć i rozgrywać myślenie o wyzwaniach i zadaniach państwa.

W 1989 roku wychodziliśmy ze świata zagrożeń: autorytaryzmu, komunizmu, stanu wojennego, partyjnej monokultury zastępującej wielość demokratycznego krajobrazu politycznego, nieefektywnej gospodarki i niesprawnego państwa.

W 2017 roku wchodzimy w świat zagrożeń o już – niestety – przewidywalnej skali. Zagrożeń dla polskiej demokracji, państwa prawa, swobód obywatelskich. Zagrożeń, które fundują drogę do państwa autorytarnego i dominacji monokultury politycznej. Nawet jeżeli definiować te zagrożenia, używając pojęcia „neoautorytaryzmu”,

z sugestią, iż model ten mieści się w szeroko pojmowanym paradygmacie demokratycznym (bo są wybory i jest władza wykonawcza z mandatu wyborczego), to zagrożenie dla realnej demokracji – nie tylko opartej na wyniku wyborów, ale skupionej na procesach, procedurach, uczestnictwie i gwarancjach dla różnych mniejszości – jest olbrzymie.

To nie znaczy, że lata 1989–2015 traktuję jako okres w stu procentach udany. Jednak skala zagrożeń, z których u początków transformacji w 1989 roku wychodziliśmy, wraz z końcem komunizmu – jest porównywalna do skali zagrożeń, w które dzisiaj wkraczamy.

Znaleźliśmy się w sytuacji fundamentalnej, jeśli chodzi o próbę rozumienia i rozwiązywania wielu spraw kluczowych dla porządku cywilizacyjnego, w którym funkcjonujemy.

Tak jak w 1989 roku należało podjąć radykalną reformę państwa, by stworzyć zręby demokracji i gospodarki rynkowej, budować liberalną demokrację, tak teraz – po zniszczeniu Trybunału Konstytucyjnego, podważeniu separacji władz: ustawodawczej, sędziowskiej i wykonawczej, co jest fundamentem państwa prawa, zawłaszczeniu mediów publicznych przez partyjną propagandę, zdeformowaniu modelu edukacji, zanegowaniu instytucjonalnej niezależności sądownictwa i niezawisłości sędziów, osłabieniu gwarancji dla przejrzystości wyborów przez zmiany w prawie i regułach wyborczych, nieustannej niechęci władzy centralnej do idei samorządności – trzeba będzie na nowo podjąć radykalną reformę państwa. I to bez względu na poziom obecnej, aktualnej legitymizacji dla „dobrej zmiany”, bo przecież odzwierciedla on tylko część problemu. Dotychczas odczuwający w subiektywny sposób „przegraną” – nawet nie głównie w sensie ekonomicznym, ale pozycji społecznej – stają się w imię postawy antyestablishmentowej „wygranymi”, pełnymi satysfakcji z możliwego upokorzenia dotychczasowych elit i ich zaplecza.

Po 1989 roku mieliśmy do czynienia z wieloma pułapkami myślowymi, które ograniczyły w pełni skuteczną naprawę polskiego państwa. Wskażę trzy spośród nich.

Pierwsza: jednym z najgłupszych intelektualnie wybryków była swowista mitologia „taniego państwa” – ten koncept i stereotyp szerzony był w różnych latach przez różne rządy oraz propagowany przez media ulegające coraz bardziej tabloidytacji. Była to odpowiedź na populistyczne oczekiwanie, aby państwo, urzędnicy i instytucje dobrze działały, ale zarazem żeby to nie kosztowało zbyt dużo, co w skarłałym przekazie medialnym brzmiało: „żeby się państwo – jego urzędaszy – nie bogaciło na biednym ludzie”. Ten schemat myślenia uwięził sam siebie. Jego orędownicy stali się zakładnikami nieustannego sprawdzania, czy państwo nie wydaje za dużo na różne cele, a urzędnicy nie są nadmiernie wynagradzani. Myśląc w ten sposób, ucieka się od prawdziwego pytania: na co państwo powinno wydawać środki? I podważa się sens niezależności dobrze wynagradzanej administracji, bo może jej nie pozostawać nic innego, jak stać się orężem partyjnej walki – co dzieje się od 2015 roku. Wróciliśmy do modelu posłuszeństwa wewnątrz administracji i w relacjach administracja – obywatele. Administracja przestała być twórcza, a zarządzanie państwem porzuciło nowinki w postaci efektywności opartej na klienckiej (obywateli) satysfakcji czy responsywności, polegającej na otwartej współpracy administracji z obywatelami traktowanymi jako źródło wiedzy. Miernikiem skuteczności działania państwa pozostaje więc nakład na zadanie, a nie realny rezultat, efekt, wynik. Polityka 500 plus jest tego dobrym przykładem.

Druga pułapka to nawracający mit silnego państwa – silnego, niestety tylko dla niektórych, dzięki swojej sprawności. Określenie „sprawne” zostaje gdzieś ukryte, zredukowane, a dominuje wyłącznie: „silne”, co oczywiście ma oznaczać, że państwo zarządzane jest według jednej linii, a decentralizacja i samorządność są jego swoistymi

przeciwnikami, podobnie jak obywatelskie uczestnictwo w procesach decyzyjnych. Silne państwo w takim rozumieniu to nie jest państwo pomocnicze, w którym różne organy i poziomy państwa dzielą się odpowiedzialnością za różne polityki. Jest „silne” dlatego, że jego główną cechą ma być zagwarantowanie bezpieczeństwa (odpowiednio zdefiniowanego) obywatelom, choć lepiej powiedzieć – narodowi (nawet wówczas, gdy zagrożenia dla bezpieczeństwa są sztucznie kreowane). To władza centralna, polityczna, partyjna w efekcie ma zapewnić poczucie bezpieczeństwa. Dlatego też w obowiązującym dzisiaj przekazie władz pojawia się zdanie: „życie każdego Polaka będzie chronione przed uchodźcą, a uchodźca równa się terrorysta”. Dlatego w Polsce jest możliwa ustawa o policji, o której Amerykanie jeszcze z okresu administracji prezydenta Baracka Obamy mówili: „Macie najbardziej na świecie rozwiniętą ustawę inwigilacyjną. W Stanach takiej nie mamy. Nawet po 11 września nie mieliśmy takich możliwości”. Różne formy tego „silnego państwa” i tęsknoty za nim pojawiały się oczywiście w ciągu całego okresu od 1989 roku, ale nigdy w tak pełnej postaci, jak obecnie.

Jest oczywiście coś zastanawiającego w tej swoistej „ucieczce od wolności” podjętej przez dużą część Polaków. Szczególnie tych, którzy – zresztą poza znaczeniem poziomym wykształcenia – wolą oddanie wolności w imię sprawiedliwości realizowanej odgórnie niż wymaganie sprawiedliwości w ramach wolności. To drugie jest obywatelsko trudniejsze, bo potrzebuje obywatelskich wzorów zachowań; pierwsze może się spełnić w plemiennym poczuciu wspólnoty.

Trzecią pułapką, która nam towarzyszyła przez te wszystkie lata, był spór między państwem „minimum” a państwem „maksimum” – w latach 80. ubiegłego wieku pisał o tym Guy Sorman¹. Redukujemy różne zadania i funkcje państwa w przekonaniu, że nie powinno ono

¹ Polskie wydanie: Guy Sorman, *Państwo minimum*, przeł. Marian Miszański, Łódź-Warszawa 1987.

ingerować w wiele różnych dziedzin, tylko wykonywać swoje minimalne funkcje. Jakże? Tego nigdy do końca w Polsce nie zdefiniowano. Jednocześnie środowiska lewicowe wyrażały oczekiwanie, że państwo będzie państwem maksymalnym w wielu funkcjach: zajmie się obywatelami, otoczy ich opieką we wszystkich możliwych wymiarach funkcjonowania, przy czym całkowicie zapomniano o budowaniu indywidualnej odpowiedzialności ludzi za siebie. Natomiast środowiska liberalne ulegały fałszywej wizji, że redukcja funkcji państwa do minimum jest wyrazem oszczędnej sprawności i w darwinistyczny sposób wykreuje ludzką odpowiedzialność za własne sprawy. Wiele z zadań państwa miało być w związku z tym realizowanych przez rynek. Nie stworzono jednak zdrowych warunków dla rynkowego funkcjonowania usług publicznych. Efektem była duża niesprawność usług publicznych w wielu dziedzinach: powstała swoista hybryda tego, co państwowe, z samorządowym i rynkowym. Szeroko pojmowany obóz polityczny, który wprowadzał Otwarte Fundusze Emerytalne (OFE) w systemach emerytalnych i promował indywidualną zapobiegliwość jako element zabezpieczenia społecznego na starość – sam zniszczył tę ideę, walcząc z funduszami emerytalnymi i *de facto* likwidując załączki modelu socjalnego, w którym jakąś rolę mogłyby odgrywać prywatne instytucje nastawione na realizację celu i dobra wspólnego: pewność emerytury.

Formuła 500 plus przyniosła powrót do onnipotencji państwa, także w podstawowych funkcjach zabezpieczenia socjalnego. Ale przyniosła też nadzieję, że państwo dobrze wykona swoje opiekuńcze obowiązki. Z wyobrażeniami o państwie związana jest jeszcze inna kwestia. Jedną z ważniejszych jego funkcji jest tworzenie warunków dla rozwoju. W tej sferze dokonaliśmy istotnej rzeczy – zdecydowaliśmy się na jego decentralizację, poczynawszy od pierwszej reformy i wyborów do gmin w 1990 roku, aż do drugiej reformy decentralizacyjnej w 1999 roku, czyli stworzenia nowego podziału na województwa i powiaty

(przy wszystkich słabościach struktury powiatowej). Wpisała się zatem w polski model państwa zasada pomocniczości we współczesnej wersji, której istotą jest branie odpowiedzialności i podejmowanie decyzji na najbardziej adekwatnym co do reguły skuteczności poziomie funkcjonowania. Bez demokracji samorządowej nie byłoby wielkich sukcesów polskich zmian. Można dyskutować o poszczególnych rezultatach tych zmian, ale w regionach na pewno wykonano wielką pracę. Na przykład efektywność wydawania środków unijnych nie byłaby możliwa, gdyby nie reforma decentralizacyjna, powołująca regionalne województwa. A tym samym wielki regionalny *boom* inwestycyjny w latach 2005–2015. Zresztą – co widać po ewolucji polityk miejskich – przez lata samorzady przeszły długą drogę od inwestowania w „rzeczy i infrastruktury” do inwestowania w ludzi, w ich potrzeby i jakość życia. Ten proces wymagał czasu, dlatego o czystym powietrzu jako składniku jakości życia obywateli, mieszkańców zaczyna się mówić publicznie dopiero teraz.

Trzeba oczywiście też powiedzieć, że decentralizacja wyzwala poczucie lokalnych tożsamości. W jednych miejscach udało się to lepiej, w innych gorzej. W wielu regionach przez lata nie było energii lokalnej, która by budowała tamtejsze tożsamości. Ale porównując ożywienie społeczne wokół tożsamości lokalnych i regionalnych z przeszłością, można powiedzieć, że wykonaliśmy w Polsce wielki krok do przodu. Oczywiście, są miejsca, gdzie ludzie lokalnie sprawujący władzę samorządową robią to dobrze, gdzie indziej można mieć wiele zastrzeżeń. Niemniej model decentralizacyjny uważam za sukces, natomiast atak na samorzady i samorządność za wielkie zagrożenie.

Istnieje jeszcze drugi wymiar tworzenia warunków rozwojowych dla państwa: myślenie strategiczne o strategicznych warunkach rozwojowych. Strategią rozwoju były wejście do NATO i do Unii Europejskiej, transformacja, gospodarka rynkowa. Jednak po 2004 roku (kiedy byliśmy już w NATO i UE, mieliśmy zagwarantowane kotwice

bezpieczeństwa Polski zakorzenione w tradycjach Zachodu i demokracji liberalnej) w gruncie rzeczy nie ma jasności, co jest strategią rozwojową Polski, bo samo dobre wydawanie pieniędzy unijnych, np. budowanie autostrad, nie może być elementem myślenia strategicznego. Rozsypało się całościowe spojrzenie na to, jakie powinny być kierunki rozwojowe państwa dla obywateli. Rekomendacje zawarte w moim raporcie *Polska 2030* zostały niestety wykorzystane tylko częściowo. Niewiele też zrobiono dla pełnego i głębokiego zakorzenienia nas w świecie wartości i zasad unijnych. Liderzy opinii publicznej traktowali Brukselę jak źródło finansowania rozwoju kraju – co jest słuszne, ale jeśli to jedyny sposób odnoszenia się do tego, czym jest Unia Europejska, rodzi to zagrożenia oraz splot nasz stosunek (nawet pozytywny) do Unii.

Dzisiaj ze zdwojoną siłą trzeba powiedzieć, że wraca potrzeba wizji strategicznej skupionej na obronie pozycji i obecności Polski w Unii Europejskiej, bo rządy PiS-u robią wszystko, aby wiarygodność Polski obniżyć i zniechęcić Polaków do bycia w Unii Europejskiej. Obrona tej wartości – twórczej obecności Polski w UE oraz kierunku rozwojowego zorientowanego na Zachód, a nie na wzorce Władimira Putina – staje się kluczowa dla polskiej strategii.

Trzeci element, ważny dla budowania warunków rozwojowych przez państwo i z udziałem państwa, to budowa kapitału społecznego. W Polsce mamy stosunkowo niski kapitał społeczny: nie ufamy sami sobie, nie ufamy instytucjom, silniejsze bywają zawiści i podziały od zdolności do współpracy. Przez wieki utrwalił się raczej historyczny kapitał przetrwania: wiara, język, rodzina pozwalały utrzymać substancję tożsamości.

Początek transformacji wykształcił w Polakach umiejętność adaptacyjną, ale trzeba także powiedzieć, że nie ma kapitału społecznego nakierowanego na rozwój, właśnie opartego na otwartym zaufaniu, zdolności do kooperacji, łączącego obywateli wolnego państwa nie

tylko przeciw komuś, ale za czymś, za budowaniem czegoś wspólnego. Dzieje się tak z różnych powodów. Możemy definiować, jakie są cechy polskiego społeczeństwa w zachodniej czy wschodniej części kraju, jacy są ludzie i jak historia buduje kapitał społeczny. Wykonano duży krok w stronę rozwoju społeczeństwa obywatelskiego, ale to dążenie do jego tworzenia w pewnym momencie się zatrzymało. Mniej więcej od roku 2002–2003 co jakiś czas wracało pytanie, czy oprócz tego, że mamy się warunki dla działania organizacji pozarządowych, daliśmy im na przykład coś, co można by nazwać „żelaznym kapitałem”, oraz czy potrafilibyśmy umieścić obywatela w centrum działania państwa. Czy daliśmy organizacjom obywatelskim pełnię różnych możliwości, także swobodę i niezależność finansową? Nie zrobiliśmy tego.

Problemy z tym związane widać obecnie, kiedy wiele organizacji może utracić możliwości działania w nowym trybie dostępu do środków finansowych, o wiele bardziej zideologizowanym i podporządkowanym partyjnemu państwu PiS-u.

Nie zmienia to faktu, że wiele organizacji i samorządów wykonało sporą pracę na rzecz wzrostu kapitału społecznego – utrzymując w równowadze stan napięć społecznych i zabiegając o spójność społeczną przy wszystkich zróżnicowaniach, starych i nowych formach nierówności społecznych. Dopiero czas PiS-u po 2015 roku otworzył pełne pole do populistycznej polityki, opartej na dystrybucji strachu i równocześnie dystrybucji poczucia bezpieczeństwa, ale z budowaną w tym samym momencie skrajną polaryzacją społeczeństwa. Są nasi ze swojej wspólnoty plemiennej i są obcy, wrodzy wrogowie, ci inni, ci z III Rzeczypospolitej, „drugiego sortu”, ci, którzy powinni wypaść za burtę społecznego szacunku i dialogu. Takie podejście jest w sensie emocjonalnym wyrokiem na demokrację i na Konstytucję oraz jej gwarancje dla wszystkich obywateli i spójności społecznej.

Nie zmienia to faktu, że właśnie teraz następuje wielka rewolucja obywatelska w Polsce, i to na skalę tak dużą, jak odrodzenie ruchów

obywatelskich po 1989 roku. Wyrażna jest orientacja na obronę podstawowych wartości obywatelskich, jak prawa kobiet, prawa wyborcze, prawo do niezależnego sądu, prawa do wolności zgromadzeń i wyrażania opinii, prawo do bezstronności państwa – także w sprawach światopoglądowych. Powstało mnóstwo nowych ruchów i organizacji, które działają w „realu” i w sieci. Podgrzewają temperaturę debaty publicznej i organizują protesty, dbając nie tylko o „obywatelski” charakter demonstracji wielkomiejskich, ale też o akcje obywatelskie w małych miejscowościach. Mają charakter rozproszony, często uciekają od politycznego samodefiniowania. Ale to one organizują współczesny dyskurs polityczny.

To obywatelskie przebudzenie jest nadzieją przyszłości polskiej demokracji. Bo to ono wnosi do myślenia o państwie i jego przyszłych reformach silną wartość obywatelskiego uczestnictwa w sprawach publicznych i całościowego podporządkowania modelu państwa kierunkowi „na obywatela”. Ten kierunek „na obywatela” oznacza oczywiście: „z obywatelem”.

Nie zbudowaliśmy również przez cały okres transformacji mediów publicznych z misją publiczną. Mediów, które budowałyby kapitał społeczny, byłyby bezstronne i realizowały funkcje obywatelskie, formowałyby postawy proobywatelskie, edukowałyby do spraw publicznych i rozumienia współczesnego świata, szczególnie w czasach konwergencji mediów, rosnącej roli internetu, z jego szansami informacyjnymi, ale i groźbą *fake news*. Media publiczne nigdy nie miały celu związanego z zadaniami publicznymi. Uruchomiono tam mechanizm czysto rynkowy: skoncentrowano się na tym, że media muszą się jakoś utrzymać. Zaczęła się dyskusja, czy źródłem finansowania powinien być abonament, czy reklamy, i to zakłóciło możliwość budowania mediów publicznych. Ekonomia przesłoniła wartości. Tabloidyzacja w konsekwencji przesłoniła misję publiczną oraz zniszczyła bezstronność. Obecnie ta bezstronność

z założenia jest niszczona przez maszynę propagandowo-manipulacyjną. Dzisiaj zresztą media są tylko elementem nowego ekosystemu komunikacyjnego, którego istota polega na niesamowicie szybkiej zmienności tematów i spraw traktowanych jako ważne, na nieustannym „chwytaniu chwili” i skupianiu uwagi masowej, na „polityce hasztagu”. Bywa, że walkę o wolne sądy w sieci przesłania *Atlas kotów* czytany przez prezesa Jarosława Kaczyńskiego w sejmie.

Podsumowując: mamy wielkie osiągnięcia – decentralizację, półosiągnięcia – organizacje pozarządowe, a także słabości – media publiczne, edukację i nowe obszary komunikacji, zdominowane przez sieci społecznościowe.

Jeśli chodzi o edukację w sensie formacyjnym: nie umieliśmy ani podtrzymać legendy etosu i siły „Solidarności”, ani oprzeć się niszczeniu tej legendy i jej siły. Tak jakbyśmy stracili naszą pamięć. Jakby to wszystko, co dzisiaj budujemy, funkcjonowało inaczej – w oparciu o kanon wartości nie do końca społecznie rozpoznawalny. Nie udało się stworzyć nowych wzorców tożsamości, które łączyłyby ze sobą zakorzenienia lokalne, regionalne, narodowe i europejskie. Nie udało się stworzyć nowoczesnego modelu patriotyzmu. Niektórym wydawało się to niepotrzebne i niemożliwe w świecie technokratycznym oraz rewolucji technologicznych. Inni – zostali bierni i neutralni, a w efekcie mamy dziś w Polsce rosnący i akceptowany nacjonalistyczny wzorzec patriotyzmu, bardziej zresztą zorientowany na przeszłość i teraźniejszość niż na przyszłość, choć sprawnie używający nowych technologii, zarówno jeśli chodzi o kanały przekazu, jak i treści (np. postawy skrajnie patriotyczne w grach komputerowych).

Kolejna kwestia ważna dla stabilności i trwałości demokracji: czy budowaliśmy i czy udało nam się zbudować państwo dialogu i mechanizmów instytucjonalnych, które pozwalają na rozwiązywanie

konfliktów? Mamy tu wiele sukcesów. Był pakt o przedsiębiorstwie² z 1993 roku, który *de facto* otworzył drogę prywatyzacji. Potem w latach 1994–2015 całkiem sprawnie działała Trójstronna Komisja ds. Społeczno-Gospodarczych, która podejmowała negocjacje i uczestniczyła w nich z poważnym traktowaniem partnerów społecznych. Przeprowadziliśmy w Polsce głęboką transformację we względnym pokoju społecznym, dokonaliśmy restrukturyzacji wielu różnych gałęzi i sektorów społeczno-gospodarczych z udziałem społecznych interesariuszy. Były też działania związane z ruchami obywatelskimi, wprowadzenie odpisu na organizacje społeczne z naszych podatków w wysokości 1% – co dało szansę na częściowe uniezależnianie się organizacji od struktur państwa, tak jak otwartość sposobów *crowdfundingowych*. Była też niedokończona próba z 2010 i 2011 roku mocniejszego wciągnięcia w dialog obywatelski organizacji pozarządowych po to, aby razem szukać rozwiązań dla przyszłości kraju, także poprzez współpracę podmiotów z Komisji Trójstronnej z organizacjami obywatelskimi.

Można jednak powiedzieć, że umiejętności dialogowe wiążą się nie tylko z instytucjami, ale także z osobami, które mają taką umiejętność lub jej nie posiadają. Odnoszę wrażenie, że po roku 2003–2004 zabrakło zdolności dialogowych. Przypominam sobie swoją aktywność w latach 2007–2011, czyli w pierwszym rządzie Donalda Tuska. Podejmowano wtedy wiele starań, by wrócić do dialogu społecznego – i wróciliśmy. Co było jednak później? Co się utrzymało, a co rozproszyło? Stawiam tutaj wielki znak zapytania. Dzisiejsza Polska nie jest Polską żadnego dialogu. Nie jest Polską, która wykorzystywałaby partnerów instytucjonalnych i społecznych do wspólnego rozwiązywania problemów. A patrząc na państwo PiS-u – widać państwo, które

2 Pakt o przedsiębiorstwie państwowym w trakcie przekształcania podpisany 22 lutego 1993 roku.

stoi odwrócone plecami do ruchów obywatelskich i realnych partnerów społecznych.

Coś się za tym oczywiście kryje. Jeśli państwo ma być silne siłą władz centralnych i partyjnej mocy polityków, jeśli ma być omnipotentne w różnych dziedzinach, bez wsparcia i współpracy oraz współodpowiedzialności (wedle zasady pomocniczości) samorządów, partnerów społecznych i obywatelskich, jeśli ma być monolityczne kulturowo i medialnie, z celami „narodowymi”, spoza których wyzierają nacjonalizm i niechęć do Europy, to nie potrzebuje ani dialogu, ani kluczowego dla żywej demokracji udziału obywateli w decyzjach i politykach różnego rodzaju oraz rozwiązywania konfliktów poprzez ucieranie ich i poszukiwanie wspólnego dobra z szacunkiem dla wszystkich stron.

Istotą współczesnego państwa jest i powinno być państwo obywatelskie. Państwo, którego różne funkcje, w tym rozwój oraz rozwiązywanie naturalnych dla demokracji konfliktów, tak naprawdę służą obywatelowi. To on jest główną wartością i jemu wszystko powinno być podporządkowane, łącznie z definiowaniem dóbr publicznych, które funkcjonują poprzez usługi służące obywatelom w ich rolach jako uczniów i studentów, jako przyszłych pracowników, jako pacjentów, jako uczestników kultury, jako aktywnych emerytów budujących „srebrną gospodarkę”. Tym samym edukacja, zdrowie, sprawy kultury – jako czynniki rozwojowe – mogą odgrywać istotną rolę i budować jakość życia.

Dwa słowa o edukacji. Jeśli ma być ona elementem formowania społeczeństwa, ale i wyposażania pojedynczych osób w umiejętność dawania sobie rady ze zmianami świata w każdym możliwym wymiarze, to patrząc na „deformę” edukacji, trzeba mocno postawić następującą kwestię. Czy zadano sobie pytanie (i ono musi wrócić w procesie przyszłej naprawy państwa), w jaki świat wejdzie uczeń, który poszedł do szkoły 1 września 2017 roku, kiedy będzie tę szkołę kończył w 2029

roku, lub kiedy po studiach wejdzie na rynek pracy i w świat w 2033 roku? To jest test na to, czy edukacja służy przyszłości wspólnoty społecznej.

Można powiedzieć, że w zmienianiu państwa po 1989 roku rozpoczęliśmy drogę w stronę państwa obywatelskiego.

Uświadomiliśmy sobie, że podstawowym punktem odniesienia urzędnika, urzędów, instytucji, administracji już nie jest świat polityki, ale różni interesariusze i grupy, także grupy interesu. Jednak nie doszliśmy do punktu, w którym dla państwa najważniejszy jest indywidualny odbiorca i najistotniejsze staje się budowanie partnerstwa: państwo–obywatel. To nowoczesne otwarte państwo, do którego odnoszą się określenia takie, jak *smart government* czy *open government*. To państwo, które otwiera różnego rodzaju dane, dzieli się nimi z obywatelami. Ale tylko częściowo wdrożyliśmy dyrektywę *reuse* o ponownym użyciu informacji publicznej, a proponowana przez PiS ustawa o „jawności” jest w dużej części zaprzeczeniem filozofii otwartości państwa. Tak jakbyśmy nie mieli do końca zaufania, jakby rządzący nie mieli do końca zaufania, że obywatele powinni wiedzieć o swoim państwie wszystko, co możliwe i potrzebne, a państwo powinno być transparentne we wszystkich działaniach.

Ostatnia kwestia: istotę demokracji stanowią nie tylko wygrane czy przegrane wybory, lecz przede wszystkim funkcjonujące instytucje demokratyczne i równowaga między władzami – wykonawczą, ustawodawczą oraz sędziowską. Wielki wysiłek dokonany w tej materii po 1989 roku, także związany z zapisami konstytucyjnymi – sąąd moja dedykacja dla Wiktora Osiatyńskiego – jest w tej chwili marnowany.

Nastąpiła destrukcja Trybunału Konstytucyjnego, a potem także Sądu Najwyższego jako tej instytucji, która *de facto* potwierdza legalność, prawdziwość i rzetelność przeprowadzonych wyborów. Wprowadzany jest model powoływania członków KRS-u w sposób polityczny

i dokonywania zmian personalnych w sądach dzięki wymuszaniu przechodzenia na wcześniejszą emeryturę i mianowaniom politycznym prezesów sądów okręgowych. Przypomnę – w systemie sędziowskim model emerytalny wygląda zawsze inaczej: przy obniżeniu wieku emerytalnego sędziowie, którzy będą chcieli pozostać sędziami, będą musieli prosić o pozwolenie ministra sprawiedliwości, co prawdopodobnie „wymiecie” około 40% składów sędziowskich. Podważona jest gwarancja niezawisłości sądów i sędziów zapewniana do tej pory w Polsce i w wielu krajach świata poprzez nieusuwalność sędziego i elastyczny wiek emerytalny.

Likwidacja niezależności systemu sędziowskiego jest wielkim zagrożeniem dla przyszłości demokracji i stabilności szacunku dla praw obywatelskich.

Jeśli w 1989 roku staraliśmy się wyjść z zagrożenia, jakie poprzedni system tworzył dla rozwoju Polski i dla wolności jej obywateli, to teraz znaleźliśmy się w punkcie, od którego *de facto* musimy tę debatę i tę pracę jeszcze raz odbyć i wykonać, definiując zagrożenia, ale nie wracając do modelu państwa z lat 1989–2015. Powrót do niego byłby zbyt prostym i pewnie niemożliwym rozwiązaniem: czas idzie do przodu, ludzie się zmieniają, pojawiają się nowe wyzwania i wymagania. Trzeba dokonać redefinicji zadań i funkcji, abyśmy mogli zbudować państwo, które będzie nadążało za zmianami zachodzącymi w świecie. Państwo, którego jedynym sumieniem będzie prawo, a nie jakkolwiek religia czy mentalność „ukochanego wodza”, neoautorytarnego przywódcy.

Taki kierunek wymaga jasności wizji oraz determinacji w działaniach. Determinacja powinna mieć podwójny charakter. Musi dotyczyć pakietu zmian prawnych, które przywrócą reguły demokratyczne i państwo prawa, poprawiając zresztą błędy z całego okresu transformacji po 1989 roku, dzisiaj już widziane i rozumiane. Ale równocześnie determinacja ta dotyczyć musi uruchomienia procesów

społecznych, które złączą w pozytywny sposób utrwaląc reguły demokracji, zasady pomocniczości, swobody, ale też odpowiedzialności mediów i całego nowego ekosystemu komunikacji publicznej. Celem naprawdę musi stać się państwo obywatelskie, ze wszystkimi tego konsekwencjami, z uruchomieniem potencjału sił rozwojowych Polaków, z budowaniem kapitału społecznego, z przekroczeniem murów polaryzacji i nienawiści (to w sensie moralności społecznej będzie jedno z najtrudniejszych zadań), z pokonaniem podziałów wynikających z nierówności. Potrzebne będą zarówno sprzątanie stajni Augiasza po PiS-ie, jak i budowa nowego gmachu demokracji. Do tego niezbędna okaże się postawa demokratyczna silniejsza niż „ciągotki” autorytarne wielu Polaków.

Aby ta zmiana zaszła, potrzebne są nie tylko warunki polityczne – siła polityczna zdolna obudzić obywateli i wygrać wybory. Ale przede wszystkim – przywództwo. Nowe elity? Nie chcę tego tak formułować, bo to Jarosław Kaczyński mówi o potrzebie nowych elit.

Jedną z istotnych tez wygłaszanych przez obecnie rządzących zakłada, że trzeba wymienić elity. Historycznie jednak patrząc i korzystając z analogii historycznych, to bolszewicy wymieniali elity. W roku 2017 przypadła setna rocznica rewolucji bolszewickiej. Z pewnego punktu widzenia Rosja 1917 roku w relacjach z cywilizowanym światem miała taki sam dystans do niego, jaki ma do świata dzisiaj, w 2017 roku. Tak się kończy wymiana elit w autorytarnym porządku.

Dlatego koncept nowych elit musi być traktowany inaczej. Muszą się one – i mogą – wyłonić z ruchu obrony demokracji, jaki widać *in statu nascendi* dzisiaj. Droga do nich musi być otwarta. Nowy rok 1989 wymagać będzie nowej generacji. Choć tak jak i wtedy – kilka generacji zapewne w tym dziele może się spotkać.

maj–grudzień 2017

Włodzimierz Cimoszewicz

III RP się nie przeżyła

W latach 2004–2005 Fundacja im. Stefana Batorego zorganizowała serię spotkań z politykami, którzy mówili o kondycji naszego państwa. To były spotkania z pojedynczymi mówcami. Niemal wszyscy dowodzili, że III Rzeczpospolita już się przeżyła i powinna być zastąpiona czymś nowym¹. Również mnie poproszono o wystąpienie. Staralem się wtedy udowodnić, że z III Rzeczpospolitą nie jest tak źle. Odnoszę wrażenie, że dzisiaj – gdyby można było cofnąć się w czasie – z chęcią znaleźlibyśmy się w tamtym państwie.

Warto zatem nie podążać za modnymi w danym momencie poglądami, lecz spróbować głębiej spojrzeć na ostatnie ćwierć wieku i zastanowić się nad przyczynami, które określają, jak funkcjonuje nasze państwo. To jest znacznie ważniejsze niż komentowanie decyzji poszczególnych rządów, ekip czy środowisk itd.

O jakości funkcjonowania państwa decydują trzy kwestie: regulacje, instytucje i ludzie. Z respektem podchodzę do dwóch pierwszych, zdając sobie sprawę z tego, jak ważne są regulacje, prawo, jego jakość,

¹ Był to cykl *O naprawie Rzeczypospolitej*. Wykłady wygłosili: Marek Belka, Marek Borowski, Włodzimierz Cimoszewicz, Jarosław Kaczyński, Lech Kaczyński, Aleksander Kwaśniewski, Tadeusz Mazowiecki, Zbigniew Religa, Jan Rokita, Donald Tusk. Materiały z tych wystąpień są dostępne na stronie: www.batory.org.pl/programy_operacyjne/debaty/cykl_naprawa.

poziom, mądrość, elastyczność, ogólność i intencje, z jakimi jest tworzone – czy ustawodawca pragnie wprowadzać minimum ograniczeń dyktowanych koniecznościami, czy też raczej wprowadza regulacje, które uznaje za wygodne, służące bezpośrednio interesom tego, kto wpływa na przyjmowanie nowego prawa. Instytucje mogą być skonstruowane w sposób sprzyjający ich sprawności bądź zwiększający ryzyko konfliktów. Podkreślam: doceniam znaczenie obu tych kwestii. Pracowałem chociażby w Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego, a nawet krótko byłem jej przewodniczącym. Jednak – i jestem o tym głęboko przekonany – można ułożyć sobie życie nawet w niewygodnie umeblowanym mieszkaniu.

Jest wiele potwierdzeń tego dość obiegowego przekonania. Można przywołać chociażby konstytucję amerykańską. Dzisiaj można usłyszeć, że nasza 20-letnia konstytucja jest już przestarzała. Ośmielę się przypomnieć, że konstytucja amerykańska z niewielkimi zmianami funkcjonuje w kształcie uchwalonym w 1787 roku. Okazuje się, że dokument wielce już nobliwy może nadal dobrze służyć państwu i jego obywatelom dzięki np. pozycji Sądu Najwyższego. Można też przywołać przykład Wielkiej Brytanii, niemającej pisanej konstytucji, gdzie państwo nie najgorzej funkcjonuje, także dzięki roli sędziów i obyczaju konstytucyjnego.

Podkreślam – nie lekceważąc kwestii regulacji i instytucji, jestem przekonany, że o tym, jak funkcjonuje państwo, w największym stopniu decydują ludzie: my wszyscy jako obywatele, z naszą świadomością, wiedzą i stosunkiem do istotnych elementów tego państwa. Ludzie właśnie, występujący w różnych rolach: funkcjonariusze państwa, urzędnicy, politycy itd. Jeśli zatem coś nam się nie udało po roku 1989, to ukształtowanie się społeczeństwa, które potrafiłoby dobrze i mądrze funkcjonować w demokratycznym państwie. W państwie autorytarnym czy w dyktaturze relatywnie mniejsze znaczenie ma mądrość czy wiedza obywateli. Oni przecież mają się słuchać władzy. W państwie demokratycznym, gdzie obywatele dysponują silnymi uprawnieniami

politycznymi i mają realny wpływ na najważniejsze sprawy, to jest bardzo ważne.

Ośmielam się twierdzić, że przeciętna, potoczna wiedza polskich obywateli w kwestiach istotnych, o których wyborcy rozstrzygają, jest kiepska. Relatywnie niewiele wiedzą też o samym państwie: o jego roli, zadaniach, odpowiedzialności itd. Będąc przez 25 lat posłem czy senatorem, zaobserwowałem jedną charakterystyczną zmianę. W 1990 roku co drugi interesant w moim biurze poselskim przychodził z prośbą o załatwienie mu mieszkania. Pod koniec 25-lecia mojej parlamentarnej aktywności nikt nie przychodził w takich sprawach – ludzie już wiedzieli, że państwo tego nie załatwia. Jednak jest to chyba jedyna sfera codzienności, której zasady sobie przyswojono. Zrozumiano, że tu po 1989 roku zaszła istotna zmiana. Natomiast w przypadku innych sfer funkcjonowania państwa, w tym tak elementarnych kwestii, jak finanse publiczne, wiedza o tym, skąd się biorą pieniądze w budżecie, ile ich jest i na co można je wydawać, jest złe.

W czerwcu 2016 roku odbyło się w Szwajcarii referendum dotyczące wprowadzenia systemu gwarantującego każdemu obywatelowi tego kraju miesięczny dochód w wysokości dwóch i pół tysiąca euro (tzw. dochód gwarantowany). 76,9 proc. biorących w nim udział zagłosowało przeciwko. Proszę sobie wyobrazić przebieg podobnego referendum w Polsce. Nie dwa i pół tysiąca euro, tylko np. dwa i pół tysiąca złotych miesięcznie dla każdego. Jaki byłby wynik? Większość Szwajcarów głosujących przeciwko temu systemowi wiedziała, że nawet ich bogaty kraj nie jest w stanie wytrzymać takiego obciążenia. U nas zaś wielu obywateli w ogóle nie interesuje, skąd się biorą pieniądze w budżecie państwa. „To rząd załatwi”. Jeżeli jakiś rząd mówi: „tak, my to zrobimy”, to uznaje się, że problem jest już rozwiązany.

Poza stanem wiedzy dotyczącej państwa i jego funkcjonowania istnieje poważny problem w sferze świadomości, wiedzy i kultury prawnej. W latach 90. jako członek Komisji Sprawiedliwości brałem udział

w jednym z wielkich zgromadzeń prawniczych. Dyskutowaliśmy na temat wiedzy, świadomości i kultury prawnej w naszym społeczeństwie. Oczywiście, wszyscy narzekali na kulturę prawną. Za jej stan obwiniano czasy PRL-u, ale też doświadczenie zaborów. Jednak po 27 latach praktykowania demokracji w wolnym kraju tego typu argumenty nie tracą historycznego znaczenia, ale ich waga maleje. Przecież przez 27 lat mogliśmy wszyscy zrobić wiele dla podniesienia wiedzy o prawie. Tymczasem zrobiono bardzo mało. Dominuje myślenie znane z pamiętnego filmu Sylwestra Chęcińskiego *Sami swoi* (1967). Obywatel, stykając się z pewną regulacją, nie zastanawia się nad tym, jak się do niej dostosować, lecz jak ją obejść. To dotyczy nie tylko przeciętnych obywateli, ale także polityków jako osób występujących w państwie w specyficznych rolach.

Jestem głęboko przekonany, że politycy wiele nagrzeszyli w tym obszarze. Z jednej strony, to jest kwestia zaniechań, a więc nieuczenia, braku wyjaśniania. Z drugiej – fatalne wychowywanie przez zły przykład, a więc pokazywanie, w jaki sposób można obchodzić prawo lub je fałszywie interpretować itd. Pamiętamy działania Lecha Falandysza, prawnika Lecha Wałęsy, z początku lat 90. – wielu dziwiło się, jak można tak z prawem postępować. Tymczasem dzisiaj ówczesne gry z prawem wydają się dość niewinne, bowiem poszczególne ekipy rządowe, niezależnie od orientacji politycznej, znacznie dalej poszły w obchodzeniu prawa lub naginaniu go do swoich potrzeb. W tej chwili zaś osiągnęliśmy swoiste apogeum.

Skąd taki stosunek do prawa? To wynik głębokiego niezrozumienia, czym rzeczywiście ono jest i jaką rolę pełni w państwie. Prawo należy traktować serio. Jest to pierwszy obowiązek ludzi decydujących o funkcjonowaniu państwa. Ich zachowania bowiem są obserwowane, a potem naśladowane.

Kolejna kwestia to specyficzne grupy występujące w imieniu państwa. Ograniczę się do tzw. elit politycznych, do ludzi biorących udział

w życiu politycznym, zasiadających w parlamencie czy w rządzie. Problemem jest ich wiedza i świadomość, ale także fachowość w dziedzinach, jakimi się zajmują. Myślę tutaj także o wysokich funkcjonariuszach państwa, którzy są coraz częściej wymieniani wraz ze zmianą ekipy politycznej. To jeden z najpoważniejszych problemów w tej chwili. Gdy chodzi o dobór kadr na istotne stanowiska w różnych obszarach funkcjonowania państwa, partie zgłaszają swoich ludzi, najczęściej pochodzących z wnętrza tych partii. Obserwując, jak się kształtowały partie polityczne po 1989 roku, jestem przekonany, że ich jakość ulegała degeneracji. Pogorszeniu uległy również mechanizmy selekcji ludzi docierających do polityki i do ważnych stanowisk. Coraz mniej jest wśród nich fachowców, bo oni mają, z różnych przyczyn, bardziej atrakcyjne życiowe alternatywy. Coraz mniej ludzi ideowych, a coraz więcej zaangażowanych w politykę ze względu na osobiste ambicje czy kariery. Niestety, mamy w związku z tym do czynienia z niską jakością rządu, wynikającą także z niewiedzy i z personalnych zależności.

Same partie zrobiły się „wodzowskie”, niezależnie od tego, czy to jest dzisiejszy PiS, czy to była wczorajsza Platforma Obywatelska. Obowiązuje w nich zasada: jak wódz powiedział, tak ma być. Nikt nie ośmielił się postąpić czy zachować inaczej.

Oczywiście, jestem krytykiem obecnych rządów i często daję temu wyraz. Jednak by nie ułatwiać sobie zadania, wspomnę o jednym przypadku w okresie rządów SLD. Za rządu Leszka Millera doszło do tragicznego wydarzenia: we wsi Parole koło Nadarzynia policjanci wykryli skradzionego TIR-a z drogim ładunkiem. Na miejsce pojechała ekipa policyjna, by to zabezpieczyć. Nadjechał samochód z bandziorami, którzy ostrzelali policjantów. Jeden z funkcjonariuszy zginął. To było tak szokujące wydarzenie, że na posiedzeniu rządu premier poprosił ministrów o uwagi. Już wcześniej byłem przekonany, że głównym problemem naszej policji jest niski poziom wykształcenia. W przypadku tej akcji popełniono elementarne błędy: przede wszystkim brak

zabezpieczenia. Wnioski wydawały się dość oczywiste: trzeba podnieść jakość szkolenia policjantów. Tymczasem rząd po dyskusji postanowił zaproponować zmiany w prawie, ułatwiające policji użycie broni. I to na konferencji prasowej dobrze się sprzedało.

Co zrobiono, kiedy za rządu Donalda Tuska pojawił się problem „dopalaczy” – w dużej mierze rozdmuchany przez media? Należało się skupić na edukacji i wyjaśnianiu, by dzieci i młodzież nie brały tych świństw do ręki. Tymczasem rząd Tuska wprowadził, moim zdaniem niekonstytucyjną, ustawę zakładającą zamykanie sklepów, konfiskatę towaru i wielomilionowe grzywny nakładane przez urzędników państwowych itd. Na konferencji prasowej to też się dobrze sprzedało. Dzisiaj, 10 lat później, mamy nadal ten sam problem z „dopalaczami”.

Można mnożyć tego typu przykłady, pokazujące niewłaściwy stosunek do prawa i niewłaściwe rozumienie swojej roli przez ludzi rządzących naszym krajem. Mam wrażenie, że trochę lepiej było w pierwszym okresie przekształcania państwa, ponieważ w 1989 czy 1990 roku przyświecały nam wielkie cele. Oczywiście, głównymi inicjatorami byli ludzie związani z dawną opozycją i z „Solidarnością”, ale te cele były w dużym stopniu podzielane przez wiele innych środowisk politycznych. Dlatego w tzw. sejmie kontraktowym mógł mieć miejsce taki poziom współpracy i zgody. Potem mieliśmy inne ambitne zadania, związane głównie z polityką międzynarodową. To organizowało nasze życie polityczne i nakładało na nie określone ramy. Kiedy tych wielkich wyzwań zabrakło, wszystko zaczęło się rozpadać.

Ludwik Dorn

To, czego zabrakło

Należę do szkoły – znanego z twórczości Stanisława Lema – Kerebrona Emtadry, który przez 40 lat wykladał ogólną teorię smoków w Wyższej Szkole Neantycznej. Doszedł on do wniosku, że jak coś istnieje, to jest banalne i nauka nie powinna się tym zajmować. Dlatego wykładał o smokach, których nieistnienie uznał za probabilistyczne. Jest różnica między smokiem, który nie istnieje z prawdopodobieństwem 95%, a takim, który nie istnieje z prawdopodobieństwem 25%. Także poza dziedziną smokologii interesujące jest to, co nie istnieje, bo wtedy można zadawać pytania: dlaczego coś nie istnieje? Jak coś nie istnieje, to czy nieistnienie tego czegoś jest „twarde” – nie ma go i już – czy nieistnienie to jakaś niezrealizowana potencja, która w innych okolicznościach mogłaby się jednak zrealizować? W polityce, szczególnie w państwie, interesujące są te projekty, którym można przypisać walor postulatu praktycznego rozumu politycznego (trochę tak, jak Bóg w *Religii w obrębie samego rozumu* Immanuela Kanta), projekty, do których realizacji wstępnie się przymierzano i które „spoczęły niespełnione”, jak ta „mgła dziewczęca, która chciała dostać warg i oczu” w *Balladzie bezludnej* Bolesława Leśmiana. Zajmę się jednym, moim zdaniem istotnym projektem, ale wcześniej, dla analizy kontrastowej, zatrzymam się przy tym, co nam się podczas ostatniego ćwierćwiecza udało, co wyszło i dlaczego. Do tego zaś, czego, kiedy i dlaczego nie zrobiono, przejdę później.

Jeżeli spojrzeć w perspektywie porównawczej, to naszemu państwu sporo się udało w ostatnim ćwierćwieczu. Poza sprawami fundamentalnymi związanymi z ustrojem politycznym i społeczno-gospodarczym, doszło do ukrócenia przestępczości zorganizowanej kwitnącej w latach 90. minionego wieku. W porównaniu do pierwszej połowy tego czasu zmieniła się pozycja obywatela wobec urzędu, nastąpiła absorpcja środków europejskich na wysokim poziomie – nawet jeśli można krytykować jakość tej absorpcji czy dobór celów do realizacji. Ale nie rozkradziono i nie zmarnowano tych funduszy. Przez większość tego czasu największy polityczny i urzędniczy wpływ na wykorzystanie funduszy na rolnictwo i rozwój wsi miało PSL – partia, której zarzuca się, często nie bez racji, daleko posuniętą „dosiębierność”. Nawet jeśli w PSL-u pojawiły się koleśiostwo czy nepotyzm, to ci koleśie/nepoci uczyli się, studiowali, kompetentnie wykonywali swoje zadania (w tym także pobieranie kosztów). Polska wieś uległa głębokim przemianom, a rolnictwo stało się najbardziej eksportową gałęzią gospodarki, z powodzeniem konkurującą na trudnym rynku unijnym.

Korupcja, oligarchizacja – spójrzmy na naszych południowych sąsiadów, gdzie milioner Andrej Babiš, jako minister finansów i wicepremier, a od 13 grudnia 2017 roku jako premier steruje państwem. Przed Czechami ta droga, którą już przeszły Węgry, gdzie Victor Orbán zainstalował sprawnie działający w warunkach demokratycznych system oligarchiczno-klientystyczny. Jego stworzenie umożliwiła konstytucyjna większość, którą uzyskuje Fidesz, ale ten system nie ma charakteru partyjnej nomenklatury gospodarczej, lecz oparty jest na skupionej wokół przywódcy „adopcyjnej rodzinie politycznej”, jak to określił jeden z badaczy. To jest przypadek *capture state* – zawłaszczonego państwa. W Polsce coś takiego było dotąd niemożliwe.

To wszystko są osiągnięcia niebiałe. Czym jednak przede wszystkim się **nie zajmowano**? Nie zajmowano się państwem jako systemem i nie zajmowano się państwem – by odwołać się do określenia przejętego

przez Raymonda Arona od Clausewitza – jako rozumem uosobionym. Oczywiście, polskie państwo przez minione 27 lat zmieniało się i zmieniło się głęboko. Stawiam jednak tezę, że o wiele bardziej „się” zmieniło, niż było zmieniane. Zmieniało się, gdyż bieg zdarzeń i strategiczne decyzje polityczne z nim związane wpływały na to, że pojawiało się wiele nowych zjawisk, bytów i podmiotów, którymi w przeszłości państwo się nie zajmowało, a teraz zająć się musiało. Pojawiły się prywatne podmioty gospodarcze, kapitał zagraniczny, samorządy, Unia Europejska z *acquis communautaire* i funduszami, przestępczość zorganizowana, migracje. Poszczególne segmenty i instytucje państwa wykształcały, na ogół metodą prób i błędów, sposoby radzenia sobie z tymi bytami i zjawiskami. Polskie państwo bardziej przypominało i przypomina pierwotniaka kierującego się tropizmami niż świadomy i rozumny podmiot rozpoznający rzeczywistość i dążący do realizacji w niej celów własnych. Oczywiście, politycy sprawujący władzę nie byli bezmyślni, niekiedy podejmowali rozumne działania, ale były one w większości reaktywne: reagowali na ujawniane przez państwo tropizmy, starali się je porządkować, ale nie wykraczali poza reaktywną adaptację.

Można znów odwołać się do Arona, który wyróżnił jako typy idealne politykę rozumienia i politykę rozumu. Polityk rozumienia przypomina kapitana, który żegluguje, nie wiedząc, do jakiego portu zmierza. Jego podstawową troską jest, by dowodzony przez niego statek nie zatonął; dostosowuje kurs do wiatrów, pływów, zauważonych mielizn. Polityk rozumu ma wytyczony kurs, którym podąża, a warunki żeglugi są dla niego sprawą drugorzędną. Polityka rzeczywista jest zawsze niepowtarzalnym koktajlem polityki rozumu i rozumienia. Wydaje mi się, że polityka polska do 2015 roku była bliska typowi idealnemu polityki rozumienia.

Ujmijmy rzecz w perspektywie historycznej. Pierwsze dwa rządy: Tadeusza Mazowieckiego i Jana Krzysztofa Bieleckiego, poza wielkim

dziełem reformy samorządowej, zapewnieniem funkcjonowania fundamentalnych reguł dotyczących wolności, demokracji i gospodarki wolnorynkowej, nie zajmowały się przebudową państwa jako systemu, zespołu instytucji powiązanych relacjami. Słusznie, bo kiedy wali się wszystko i mamy potężny kryzys gospodarczy, to trzeba posługiwać się narzędziami, jakie się zastało. Elementy przebudowy państwa pojawiły się w okresie rządów Hanny Suchockiej. Mam tu na myśli przede wszystkim komisję wspólną rządu i samorządów, dzięki której centrum polityczne weszło w bezpośredni kontakt z samorządami – podmiotami politycznymi działającymi na innych zasadach i w innej logice politycznej niż odziedziczona po PRL-u administracja rządowa z jej kadrami i nawykami centralistycznymi. Podsumowując: w pierwszych latach III RP w dalszym ciągu mamy państwo w znacznej mierze z kadrami i nawykami centralistyczno-postkomunistycznymi, generalnie niedostosowane do gruntownie zmieniającej się rzeczywistości politycznej, społecznej i gospodarczej.

Pierwsza przebudowa państwa jako struktury, która jest reakcją na to niedostosowanie, tak naprawdę zaczyna się od pierwszego gabinetu SLD–PSL. Wtedy pojawiły się: ustawa o Radzie Ministrów, ustawa o działach administracji rządowej, konstytucja, która wprowadziła działy administracji i usytuowała prezesa rady ministrów w roli realnego przywódcy państwa (oczywiście ludzki substrat tej roli może chcieć się jej podjąć lub nie – różnie z tym bywało). Pojawiła się też – wprawdzie nie do końca udana, ale istotna – ustawa z 8 sierpnia 1996 roku o Rządowym Centrum Studiów Strategicznych¹. Właśnie na RCSS – nie chodzi tu o nazwę – w dalszym ciągu wywodu skupię uwagę. SLD podjęło się tej przebudowy centrum państwa, czyli rządu, gdyż, jak sądzę, jego przywódcy, którzy mieli doświadczenia z realnego sprawowania władzy przed 1989 rokiem, zdawali sobie sprawę z tego, że

1 Dz.U. z 1996 r., nr 106, poz. 495.

musi istnieć siła, która integruje strukturę rządową. W warunkach PRL-u tą siłą było Biuro Polityczne KC PZPR, które artykułowało wolę polityczną, a mózgiem, który ją obsługiwał – sekretariaty KC z całym zapleczem partyjno-urzędniczo-eksperckim. Rząd z premierem miał charakter wykonawczy, a premier i ważniejsi ministrowie liczyli się o tyle, o ile wchodził w skład kierownictwa PZPR. Kierownictwo SLD zdawało sobie sprawę, że w radykalnie nowych warunkach politycznych i ustrojowych żadna partia – w tym ich partia – nie jest w stanie spełniać funkcji integracyjno-koordynującej strukturę władzy, która zaczęła się rozjeżdżać po liniach resortowych. Czynnikiem integrującym strukturę władzy miał być Prezes Rady Ministrów, a jego podręcznym mózgiem – RCSS.

Jednakże tworząc RCSS, popełniono fundamentalny błąd – stworzono je w logice resortowej jako *quasi*-ministerstwo dla jajogłowych, które w realnym procesie rządzenia musiało zawsze przegrywać z „prawdziwymi” ministrami, mającymi władzę i pieniądze. Ponadto w ramach przetargów koalicyjnych szefem RCSS nie został bliski współpracownik premiera, ale polityk PSL-u. Dziecko urodziło się z ciężką wadą wrodzoną. Możliwe były rehabilitacja i wykształcenie nowych zdolności, ale nie wiadomo, czy była wola polityczna, a czasu na pewno nie stało. RCSS powołano 1 stycznia 1997 roku, a na jesieni koalicja SLD–PSL straciła władzę.

Jesienią 1997 roku doszła do władzy Akcja Wyborcza Solidarność, zawarła koalicję z Unią Wolności, a powołany rząd był pełen reformatorskiego zapału. Zapał ten nie obejmował kontynuacji rozpoczętej przez SLD przebudowy centrum rządu. Jedynym wyjątkiem było powołanie Rządowego Centrum Legislacji, co zapewniło premierowi i KPRM możliwość wpływu na kształt ustaw, jakie rząd przedkładał Sejmowi. Rządowe Centrum Studiów Strategicznych zostało spożytkowane przez AWS, ale stało się instytucją przetargowo-fasadową i służyło ministrowi Jerzemu Kropiwnickiemu wyłącznie do walki z wicepremierem

Leszkiem Balcerowiczem. Za drugiego rządu SLD Leszek Miller z nieznanых powodów obniżył polityczny status RCSS, kierowanie nim objął najpierw nominat PSL-u Mirosław Pietrewicz, a następnie zesłano tam Lecha Nikolskiego – i to już była czysta fikcja. Innymi słowy, instytucja pomyślana jako mózg centrum decyzyjnego rządu w ogóle nie zafunkcjonowała w tej roli.

Reaktywna przebudowa państwa zakończyła się w 2004 roku wraz z uzyskaniem członkostwa Polski w Unii Europejskiej. Wszyscy uczestnicy polityki pograżyli się w smutnej błogości spełnienia. Na poziomie obywatelskim, ale także politycznym, wyczerpał się *consensus* dotyczący tego, że chcemy być na Zachodzie, najpierw w NATO, potem w Unii Europejskiej. Nastąpiło poczucie: „Trwaj, chwilo! Jesteś piękna!”. Jesteśmy tam, gdzie trzeba, a więc po co się szarpać i męczyć. Podczas pierwszego rządu PiS-u program przebudowy państwa został zarzucony, a sprawa skończyła się na przebudowie kadr, likwidacji WSI i powołaniu Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Owszem, nastąpiły elementy przebudowy w resortach, przede wszystkim poprzez wzmocnienie pozycji Ministerstwa Rozwoju Regionalnego i powołanie Komitetu Stałego ds. Informatyzacji, ale nie było żadnych impulsów z Kancelarii Premiera. Ponadto w ramach tzw. „taniego państwa” zlikwidowano RCSS. Nie było w strukturze władzy miejsca, gdzie mógłby funkcjonować mózg państwa, obsługujący organy artykułujące wolę polityczną.

Można postawić pytanie: a dlaczego takie miejsce na poziomie Kancelarii Premiera jest potrzebne? Odpowiedź brzmi, że jeśli w takim miejscu w Polsce mózgu się nie zainstaluje, to go nie będzie. W krajach o wykształconej i sprawnie funkcjonującej służbie cywilnej „mózgiem” rządu są wyżsi urzędnicy służby cywilnej, sytuujący się na cienkiej czerwonej linii oddzielającej politykę partyjną od polityki rządowej, *politics* od *policy*, którzy poprzez idącą w dziesięciolecia ciągłą praktykę mają wdrożony nawyk ciągłego uzgadniania ze sobą stanowisk

swoich ministrów i premiera. W ustrojowych warunkach francuskich „mózgiem” władzy są *cabinets ministériels* z gabinetem premiera i prezydenta włącznie, których członkowie zajmują stanowiska polityczne, ale wywodzą się z górnych warstw służby cywilnej. Tych – jak to określił jeden z politologów – trzystu ludzi naprawdę rządzi Francją. W warunkach brytyjskich „mózgiem” są stali podsekretarze stanu (w odróżnieniu od parlamentarnych podsekretarzy stanu) wraz z gronem najbliższych współpracowników i ekspertów.

Otóż w Polsce wciąż nie funkcjonuje tego rodzaju służba cywilna. Nie odmawiam kompetencji jej urzędnikom, ale działają oni w logice resortowej i czysto wykonawczej, uznając, że jakkolwiek udział eksperto-doradczy w kreowaniu polityki może zagrozić ich pozycji zawodowej. Jeśli w Polsce ma zadziałać „mózg” władzy, to trzeba go stworzyć i musi on mieć umocowanie przy premierze.

Podczas dwóch kadencji Platformy Obywatelskiej podjęto dwie poważne próby, które mogły zaowocować stworzeniem „mózgu” władzy. Michał Boni wraz z zespołem sporządził raport *Polska 2030*², którego podstawową polityczną konkluzją było to, że w Polsce polityka bieżąca toczy się w dużym oderwaniu od dających się zidentyfikować i opisać strategicznych wyzwań i uwarunkowań; jest wyłącznie „polityką rozumienia”, a „polityka rozumu” zostaje zarzucona. Raport ten nie wywarł żadnego politycznego skutku i podzielił los takich wytworów intelektualno-seminaryjnych, jak zbieżny z nim w wielu punktach raport *Państwo i My* Jerzego Hausnera³ czy wiele pozycji naukowych i publicystyka, np. Rafała Matyi. Wyszła też książka Artura Wołka *Słabe państwo*⁴.

2 *Polska 2030. Wyzwania rozwojowe*, red. Michał Boni, Warszawa 2009.

3 *Państwo i My. Osiem grzechów głównych Rzeczypospolitej*, red. Jerzy Hausner, Stanisław Mazur, Kraków 2015.

4 Artur Wołek, *Słabe państwo*, Kraków 2012.

Poważną próbą zmian w tym samym czasie było seminarium zorganizowane w 2009 roku z inicjatywy Waldemara Pawlaka, wicepremiera w rządzie Donalda Tuska, poświęcone reformie państwa, w tym centrum rządu. Brali w nim udział Jerzy Stępień, Rafał Grupiński, Michał Strąk, Tomasz Siemoniak i Grzegorz Rydlewski. Powstał ciekawy projekt, zbieżny z przywołanymi wyżej opracowaniami, po czym rezultaty prac przedstawiono około miesiąc po wyborach w 2011 roku premierowi Tuskiemu, który wyraził zainteresowanie i powiedział, że do sprawy wróci, po czym nie wrócił. I nic dalej się nie wydarzyło. Tymczasem przez ponad rok różni ludzie, także na wysokim szczeblu politycznym, ostro pracowali nad propozycjami zmian. Dlaczego tak się stało? Moim zdaniem: bo nie było przymusu sytuacyjnego, nie było kryzysu niewydolności rządu, w związku z tym nie było powodu, aby na najwyższym szczeblu doszło do mocnej krystalizacji politycznej woli zmiany.

Niekoniecznie oburzam się na Donalda Tuska. Samo wprowadzenie zmian musi być związane z kryzysem niewydolności, owym nożem na gardle. Joseph Schumpeter pisał, że nawet w systemie dwupartyjnym, gdzie sytuacja polityczna premiera jest łatwiejsza w porównaniu z systemem wielopartyjnym, premier przypomina *gentlemana*, który jedzie na narowistym koniu. Tu opozycja kąsa, tu własna frakcja bruździ, tu ministrowie drą ze sobą koty, tu prasa się czepia, a on chce się utrzymać w siodle; energii i pomysłu nie starczy mu na nic innego. Zatem w rządzie i przy premierze muszą być tacy, którzy powiedzą: „panie premierze, trzeba uzdą w prawo, bo inaczej pan i pańska partia za dwa lata ugrzęzniecie w bagnie, a teraz ostro w lewo, bo inaczej za cztery lata spadnie pan w przepaść”. Na jesieni 2011 roku premier Tusk pewnie siedział w siodle i sądził, że jest w stanie bez żadnych podszeptów powodować rumakiem. Nie skończyło się to dobrze.

Mówiąc realistycznie, nie sądzę, by do reformy państwa, w tym centrum rządu, co ma znaczenie kluczowe, doszło bez ciężkiego kryzysu niewydolności państwa. Dopiero w takich warunkach pojawi się

przymus reformatorski, który umożliwi rzeczywistą zmianę. Co ciekawe, nie sądzę, aby taka zmiana naruszyła masywne i rozległe interesy polityczne. Problem polega na tym, że bez przymusu wywołanego kryzysem, bez noża na gardle, nikomu „nie chce się chcieć”.

Rządzenie – ciągłość i zerwanie

1.

Po wyborach w 2015 roku Prawo i Sprawiedliwość postanowiło wrócić do 1989 roku. Jarosław Kaczyński uznał, że Polska budowana przez ostatnie 27 lat nie spełniła jego oczekiwań i trzeba zrobić restart. A ponieważ każda radykalna zmiana potrzebuje wroga – idealnie się do tego nadaje opozycja – wyzywanie przeciwników „dobrej zmiany” od komunistów, złodziei, gorszego sortu nie wynikało z emocji czy braku dobrego wychowania. Było dobrze przemyślane, miało jasno definiować, kto stoi po której stronie barykady. W dodatku w tym powrocie do przeszłości kusiło jeszcze jedno: nie popełnić błędu rozmawiania z przeciwnikiem, czyli komunistami, których rolę w 2015 roku miała odgrywać m.in. Platforma Obywatelska.

Skoro ma być nowy początek, to wszystko trzeba zbudować raz jeszcze: elity, kadre urzędniczą, wojsko, edukację, służby... Na tym właśnie skupił się PiS. W dodatku przez „nowe” rozumie „swoje”. Leninowskie przeświadczenie, że kadry są wszystkim, wróciło do łask. No i przydałby się mit założycielski. Najlepiej do tego nadaje się katastrofa smoleńska. Oczywiście pod warunkiem udowodnienia, że to nie był wypadek, tylko zamach, za który odpowiedzialność miałyby ponosić elity właśnie odsyłane do lamusa.

Na gruzach dawnego świata miałyby powstać nowa Polska, wolna od błędów III RP. Budowniczy – Jarosław Kaczyński i jego partia.

2.

W 1989 roku dostaliśmy wolność. Chcieliśmy być coraz bogatsi, szczęśliwsi i bliżej Zachodu. Bardzo silna była potrzeba szybkiego dogonienia Europy. Emocją dominującą w tym czasie była niecierpliwość.

Solidarnościowa opozycja nie miała doświadczenia w rządzeniu. W dodatku odziedziczyliśmy myślenie, że państwo to jest obcy twór. Nie jest nasze, walczyliśmy z nim od dawna. Konieczny był zatem proces przyzwajania sobie państwa jako czegoś, za co sami odpowiadamy. Od 27 lat je oswajamy. Dobrym przykładem są media. Dzisiaj wraca problem własności poszczególnych tytułów. Zwolennicy repolonizacji powołują się na przykłady z Wielkiej Brytanii czy Niemiec, gdzie dominuje kapitał rodzimy. Nie chcą jednak pamiętać, że po 1989 roku odziedziczyliśmy po PRL-u np. gazety, które miały drukarnie z szalejącymi w nich metrampażami i antydatowane wydania regionalne. Taki tytuł mógł albo skorzystać z kapitału zachodniego i przejść na skład oraz druk komputerowy, albo powoli schodzić z rynku. Jarosław Kaczyński powinien o tym pamiętać, bo przed takim dylematem stanął właśnie podlegający Porozumieniu Centrum „Express Wieczorny”.

Pamiętam też wypowiedzi Jacka Merkla (związanego z gdańskimi liberałami), który w latach 90. postulował tworzenie polskich supermarketów. Słusznie zakładał, że wkrótce rynek się przymknie i nie będzie miejsca dla rodzimego kapitału. Gdybyśmy mieli więcej cierpliwości, można było pójść inną drogą? Dziś możemy tylko dywagować.

Co powinno cechować dojrzałe rządy? Odpowiedzialność, cierpliwość i korzystanie z doświadczeń poprzedników. To niestety skończyło się w listopadzie 2015 roku. Dla porównania – Leszek Miller szedł do wyborów w 2001 roku, pokazując w kampanii wyborczej ludzi grzebiących w śmietnikach. Miał to być symbol stanu Polski. Miller obiecywał wielkie

transfery socjalne. Kiedy po objęciu funkcji premiera zobaczył marny stan budżetu państwa, musiał podjąć decyzje absolutnie sprzeczne z hasłami wyborczymi. Zamiast zwiększać, obcinał socjalne przywileje. Pamiętam to dość dobrze, bo w roku 2005 zostałam wiceministrem pracy, czasy finansowo były już znacznie lepsze i te odebrane przez Millera przywileje przywracałam. Miller zachował się odpowiedzialnie, choć dla rządu lewicowej partii to musiało być wyjątkowo niekomfortowe.

Jako wiceminister przejęłam programy Izabelli Jarugi-Nowackiej. Pracowałam nad nimi dalej. Były rozsądne, do głowy mi nie przyszło z nich zrezygnować tylko dlatego, że zostały po poprzednikach. Przygotowałam program polityki rodzinnej, udało mi się sformułować część projektów ustaw. Moją następczyni z Platformy Obywatelskiej, Agnieszka Chłoń-Domińczak, przejęła te projekty i wprowadziła je w życie.

Poczucie odpowiedzialności – podzielane przez kolejne rządy – zawaliło się w listopadzie 2015 roku. PiS uznał, że Polska musi być wyłącznie jego własnością. Wszystkie instrumenty państwa mają być podporządkowane jednej partii.

Przejawem całkowitego braku odpowiedzialności jest to, co się dzieje w edukacji czy w wojsku. Anna Zalewska zafundowała polskiej szkole sentymentalny powrót do, o zgrozo, PRL-owskiej przeszłości, cofając sześciolatki do przedszkoli i gimnazjalistów do podstawówek. Zmieniła podstawy programowe tak niezdarnie, że próżno dziś dopytywać się, kto jest ich autorem. Widocznie wstyd byłby zbyt wielki. W 2015 roku mieliśmy jedną z najlepszych edukacji nie tylko w Europie, ale i w świecie. Za jakiś czas – obawiam się – będzie to brzmiało jak bajka o żelaznym wilku. Myślę, że jeszcze międzynarodowe badania PISA wypadną dobrze w 2018 roku, bo obejmą rocznik, który uniknął eksperymentów. Potem poznamy efekty chaosu, jaki PiS nam zafundował.

Antoni Macierewicz przerósł oczekiwania swoich najzagorzalszych przeciwników. Tempo dewastacji armii jest zatrważające. Doprowadził do

wielkiej luki kadrowej, najlepsi odeszli. Kolejni awansują z prędkością światła, tyle że stopniem i dobrą miną nie da się zastąpić doświadczenia. Przetargi są unieważniane albo przesuwane w czasie, w związku z czym minister nie był w stanie wypełnić własnych obietnic. Większość pieniędzy przeznaczonych na zakup sprzętu trafiła do firm zbrojeniowych pod postacią zaliczek na uzbrojenie, które dopiero w przyszłości ma powstać. Minister śni o potędze, ale najbardziej namacalny efekt tego snu to wysokie miejsce w rankingu nieufności i nieustający postulat jego dymisji.

3.

Parlamentarzyści o dłuższym od mojego stażu mówią, że najbardziej odpowiedzialny był „sejm kontraktowy”, czyli pierwszy sejm po 1989 roku. To był moment, kiedy należało wszystko przebudować. Patrząc na minione 27 lat, myślę, że przyswoiliśmy sobie państwo jako coś własnego. Dzisiaj wiele mechanizmów rozumiemy lepiej niż kiedyś. Polityczny *roller coaster*, który funduje nam dzisiaj PiS, może mieć dobry – niespodziewany dla rządzących – efekt uboczny. Pokazuje, jak długą drogę przeszliśmy przez te 27 lat i jak ważne jest, by nikt nas z tej drogi nie zepchnął.

Duchy polskiego państwa

Jednym z najważniejszych problemów jest sposób, w jaki państwo radzi sobie z percepcją rzeczywistości. Nie wynika on jedynie z braków instytucjonalnych Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, ale z nastawienia polityków. Odnoszę też wrażenie, że kolejne ekipy coraz mniej wysiłku wkładają w podwyższenie tej percepcji. Punktem zwrotnym, kiedy politycy uznali, że nie potrzebują mieć silnego zaplecza politycznego, jest rok 2005. A symbolem tej zmiany fakt, iż w 2006 roku zlikwidowano Rządowe Centrum Studiów Strategicznych i nie powołano na jego miejsce niczego nowego. Nie była to świetnie działająca instytucja, jednak nic w jej miejsce nie powstało. W otoczeniu kolejnych premierów było coraz mniej doradców merytorycznych, a coraz więcej „spin doktorów”. Pamiętam niezwykłą skromność premier Hanny Suchockiej, gdy ciągle wzywała doradców, aby przedstawili kwestie, w których brakowało jej kompetencji. Istniał zatem całkiem liczny zespół zatrudniony w ówczesnym URM na stałe. A kto był głównym doradcą ekonomicznym premier Beaty Szydło? Nie wiemy. Podczas pierwszej rekonstrukcji rządu w grudniu 2016 roku pojawiła się zapowiedź utworzenia własnego centrum analiz w KPRM, ale nie została spełniona. Wcześniej mówiono o wykorzystywaniu w pracy premiera zaplecza w postaci Narodowej Rady Rozwoju, ale taki mechanizm też nie powstał.

Wiemy tylko, że kluczowe decyzje nie zapadały w Alejach Ujazdowskich. Jeśli na Nowogrodzkiej mieści się centralny ośrodek decyzyjny, to gdzie jest sztab percepcji, czyli opisywania i wartościowania problemów? To nie jest przecież takie trudne, żeby w strukturze państwa istniały węzły percepcji. Podam przykład Ośrodka Studiów Wschodnich. To instytucja, która w ocenie wielu ekip udała się i służy państwu. Jednak nie powstała kolejna oparta na podobnej zasadzie i zajmująca się innym obszarem aktywności państwa. Pierwszą rzeczą, od której trzeba zacząć zmiany, jest zatem przywrócenie wzroku państwu i to na poziomie systemowym. Nie może to opierać się na zasadzie: „jeżeli premier zechce, to może mieć doradców, którzy mu coś powiedzą”.

Druga kwestia dotyczy sposobu postrzegania państwa. Posłużę się metaforą góry lodowej. Myśląc o państwie, jesteśmy skoncentrowani na jego widocznych organach, tymczasem doświadczenie zwykłego obywatela z państwem dotyczy tego obszaru, który kryje się pod wodą i nie ma nic wspólnego ze światem polityki. Pierre Bourdieu twierdzi, że w państwie w gruncie rzeczy najistotniejsze jest to, co nie budzi kontrowersji i co nie jest przedmiotem debaty politycznej. To, co jest podawane przez szkołę, przez system prawny państwa i w zasadzie nie jest kwestionowane.

W polskim państwie można wskazać kilka takich rzeczy. Pierwszy element, który umyka naszej obserwacji, to kompleks centralistyczno-biurokratyczny. Kiedy wyjeżdża się z Warszawy do mniejszych miasteczek i patrzy na dzisiejszą konstrukcję państwa, to wydaje się, że jest dobrze. Z dwóch powodów. Przede wszystkim dzięki brawurowej i chyba jedynej udanej reformie dokonanej przez Michała Kuleszę w czasach AWS. Ta reforma decentralizacyjna sama z siebie nie byłaby aż tyle warta, bo ówczesne Ministerstwo Finansów przypilnowało, żeby samorządy nie dostały adekwatnych pieniędzy. Warto przypomnieć ważne przestrogi Tomasza G. Grosse, który wskazywał na finansową słabość samorządów

wojewódzkich¹. Po wejściu do Unii Europejskiej to się zmieniło, katastrofy udało się uniknąć, bo napłynęły środki unijne. Sprawa nie jest zatem rozstrzygnięta raz na zawsze. Jeśli zabraknie środków z Unii, to z pewnością pojawią się postulaty likwidacji samorządu na poziomie powiatowym i wojewódzkim lub realne stanie się przeniesienie tych instytucji do świata pozorów. Od kilkunastu lat mieszkam i pracuję poza Warszawą, w miastach średniej wielkości. Osłabienie strumienia środków europejskich wzmocni procesy odpływu młodego pokolenia. Już dziś coraz mniej tam dwudziesto-, trzydziestoparolatków mających zatrudnienie w zawodach – nazwijmy to – inteligenckich, do których potrzebne jest dwu- lub trzystopniowe wykształcenie. Ich decyzje o wyjeździe do wielkich miast będą nieodwracalne. To pierwszy punkt.

Drugi to kwestia postępującej biurokratyzacji jako procesu, do którego się przyzwyczajamy. Wykonuję zawód, który w ciągu ostatnich kilkunastu lat, odkąd pracuję na uczelni, uległ nieprawdopodobnej formalizacji. Opowiadałem przed chwilą Michałowi Boniemu, że niedawno znalazłem w indeksie jego wpis jako prowadzącego zajęcia o kulturze stalinizmu. Dzisiaj takie zajęcia pewnie nie mogłyby się odbyć, bo Michał Boni jako magister prowadziłby ćwiczenia do jakiegoś wymaganego siatką godzin wykładu. Prawdopodobnie miałby też kłopoty, aby zmieścić ten temat w strukturze Krajowych Ram Kwalifikacji. PRL pod tym względem był liberalny, mniej biurokratyczny i w zasadzie można było prowadzić zajęcia prawie o wszystkim. Dziś dydaktyka jest prowadzona w sztywnym, sformalizowanym gorsecie.

Głównymi duchami III Rzeczypospolitej są zatem centralizm i biurokratyczne formuły kontroli. Następnym duchem państwa jest nieufność wobec ludu, obecna w III RP od początku. Sam jestem elitarystą. Nie zakładam, że lud jest nieomylny. Jednak, jak się okazuje, dla

1 Tomasz Grzegorz Grosse, *Rozkwit, rozbłysł czy wypalenie? Blaski i cienie 10-ciu lat członkostwa Polski w Unii Europejskiej*, w: *Bilans polskiego członkostwa w Unii Europejskiej*, red. Marta Witkowska, Warszawa 2015.

większości demokratów i populistów dużym problemem jest nieumiejętność zaproponowania formuły tego, co się dzisiaj ładnie nazywa „partycypacją” – bycia wysłuchanym, zabierania głosu w referendum. W gruncie rzeczy nie wypracowaliśmy tego mechanizmu. To jedno ze źródeł populizmu w Polsce. Nie ma innego sposobu na wyrażenie swojej woli, jak gniew – dokuczenie elitom w głosowaniu czy jakiejś debacie na forach internetowych. Znam wielu ludzi, którzy nie głosują, kierując się własnym interesem ekonomicznym, w ogóle nie głosują z namysłem. Cieszą się natomiast, widząc smutne twarze przedstawicieli elit w studiu wyborczym, którzy mówią: „Kolejny raz nie rozumiemy, dlaczego społeczeństwo...”. Następuje moment zwycięstwa, triumfu nad mądralami z telewizyjnego okienka: taki był mechanizm głosowania na partię Andrzeja Leppera, na Pawła Kukiza, a w wyborach 2015 roku także na Prawo i Sprawiedliwość.

Kolejnym duchem państwa jest sposób postrzegania prawa. Nie uważam, że większość Polaków odczuwa pogardę wobec prawa, a krętactwo czy obchodzenie prawa to nasze podstawowe zachowania, chociaż jakaś część społeczeństwa na pewno tak postępuje. Jednak ludzie zbyt często widzą, jak ich pracodawca zarabia dzięki prawnikom, którzy radzą, jak prawo obejść, a nie dzięki innowacyjnym pomysłom dotyczącym oferowanych produktów. Stopień, w jakim prawnik może podnieść zysk w firmie, jest nieproporcjonalny do tego, co zrobi najlepszy wynalazca czy zdolny pracownik. To każdy wie, nie musi czekać na raporty. Potwierdzali to kolejni ministrowie finansów, mówiąc, że chcieliby państwa, w którym duże pieniądze zarabia się na pomysłości, a nie na obchodzeniu prawa. Pracownik jest też na wiele sposobów wprowadzany w błąd i wykorzystywany poprzez prawne sztuczki pracodawcy. Wie, a przynajmniej intuicyjnie wyczuwa, do czego służy prawo, i w swej ocenie pracodawców zbliża się do tezy klasyka, że jest to forma dominacji klasowej – choć jakby mu powiedzieć, kto jest autorem tego cytatu, toby się oburzył.

Ponadto jesteśmy krajem, w którym marnuje się talenty. Przytoczę *Globalny raport konkurencyjności*² opracowywany przez Światowe Forum Ekonomiczne w Davos. Według opracowania za 2016/2017 rok Polska wśród 137 państw sklasyfikowanych zajmuje wysokie, 36. miejsce jako gospodarka konkurencyjna. Możemy się z tego cieszyć. Gdzie jest źle? 60. miejsce w innowacjach; 66., jeśli chodzi o instytucje; 79. miejsce, jeśli chodzi o rynek pracy; 127., gdy chodzi o nieefektywny i niezachęcający do pracy system podatkowy (to jest bardzo surowa ocena); 116. – przyciąganie talentów z zewnątrz. Można sobie wyobrazić, jakie kraje są przed nami. Poczynamy się, że nasz rynek jest atrakcyjny dla Ukraińców – tak, bo Ukraina zajmuje w tym rankingu 127. miejsce. Polska zajmuje 99. miejsce, jeśli chodzi o zdolność wykorzystywania i zatrzymywania talentów własnych. To jest najsurowsza ocena naszego rynku pracy. Ona w znacznie większym stopniu dotyczy ludzi młodych, którzy cierpią, zwłaszcza jeżeli nie pracują w Warszawie. W stolicy rynek pracy jest w dalszym ciągu znacznie atrakcyjniejszy.

Z rynkiem pracy wiążą się ważne kwestie. Ludzie widząc, kto jest beneficjentem, kto może zarobić, kto może skorzystać na istniejącym systemie, a kto w nim jest drugo-, trzecio-, czwartorzędny, otrzymują od państwa ważne komunikaty. Z jednej strony, każdy pracodawca powie, że lepiej do prostej pracy przyjąć kogoś z niższym wykształceniem. Z drugiej – oficjalna propaganda stawia na wykształcenie jako na jeden z celów rozwojowych. To skutkuje zachwianiem poczucia hierarchii społecznej: państwo nie działa według wzoru, jaki deklaruje. Stąd płynie istotny przekaz także dla młodych ludzi, co sprawia, że oni postrzegają sferę publiczną jako pozór, a prawdy szukają poza nią czy w kontrze do niej.

Sięgnę jeszcze raz do tekstu Pierre'a Bourdieu o prawdziwej rewolucji w państwie: „Prawdziwymi rewolucjami symbolicznymi są bez wątpienia

2 *The Global Competitiveness Report 2016–2017*, http://www3.weforum.org/docs/GCR2016-2017/05FullReport/TheGlobalCompetitivenessReport2016-2017_FINAL.pdf.

te, które bardziej niż konformizm moralny podważają konformizm logiczny, wywołując bezwzględne represje, jakie pociąga za sobą zamach na integralność mentalną³. To jest, moim zdaniem, nie tylko polska reakcja. W wystąpieniach Marine Le Pen lub Donalda Trumpa widać naruszenie integralności logicznej dawnego państwa. Oni atakują spójność i integralność mentalną, a w ten sposób wywołują ogromne emocje, które dla części niezadowolonych z panujących stosunków są sposobem dokuczenia elitom. Mówią coś, co wytrąca z równowagi elity. Nie wiemy nawet czasami, co mówią. Z niektórych wypowiedzi Trumpa nie da się sformułować logicznych przesłanek polityki. Jednak tacy politycy stwarzają poczucie, że burzą system państwowy, właśnie poprzez wywoływanie irytacji w elitach, niszczenie ich wizji dobrostanu państwa itd. Trzeba zatem spojrzeć na państwo jako na to, co znajduje się pod wodą – do takiego doświadczenia państwa odwoływał się PiS: utraty pewności i zaufania. To jest metoda rządzenia poprzez retoryczny anarchizm, nieustanne burzenie poczucia pewności, że coś jest takie, jak widzimy. A odwrócenie tego stanu nie jest tak proste, jak się wydaje.

Problem w dużej mierze polega na tym, że krytyczna diagnoza sformułowana przez Prawo i Sprawiedliwość w 2015 roku i podtrzymywana do dzisiaj napotyka na odpór w postaci prostej formuły znanej z klawiatury komputerowej: „ctrl + z”. To znaczy: wróćmy do tego, co było, przecież to nie było takie złe, na pewno było lepsze niż to, co zastaliśmy.

To jest jednak niemożliwe. Przede wszystkim wprowadzając „dobrą zmianę”, PiS zmienił stawkę w grze. Kiedyś było wiadomo, co się należy partii, która wygra wybory: dostawała stanowiska ministrów, wiceministrów i gabinety polityczne. Brała – z pomrukiem niezadowolonego opozycji i części komentatorów – spółki Skarbu Państwa. Jeśli jednak chciała przejąć telewizję publiczną, to musiała czekać na okazję. PiS powiedział:

3 Pierre Bourdieu, *Duchy państwa. Geneza i struktura pola biurokratycznego*, w: tegoż, *Rozum praktyczny. O teorii działania*, przeł. Joanna Stryczyk, Kraków 2009, s. 77.

„My nie chcemy czekać. My sobie to wszystko weźmiemy natychmiast. I, co więcej, weźmiemy także rzeczy, których dotąd nie było wolno brać”. Teraz, gdy nastąpi kolejny zwrot, nie będzie można powiedzieć: „Udajemy, że nie było tego wielkiego wzięcia”. Rozsądnie myślący politycy opozycji wiedzą, że następane przejęcie władzy nie będzie proste.

Druga kwestia to konieczność odpowiedzi na pytanie: jak uruchomić wolę dokonania naprawy ukrytych części państwa? PiS nie zajmie się ich naprawą, bo tak naprawdę jest mocno osadzony w elicie III Rzeczypospolitej. Znajduje się w stanie konfliktu z prawnikami, z instytucjami trzeciej władzy. Ale poza tym kierownictwo dobrej zmiany jest częścią elit. To nie jest partia, która się wzięła z dołów społecznych. Zobaczmy, jaką pozycję mieli wcześniej trzej wicepremierzy w rządzie Beaty Szydło: Piotr Gliński, Jarosław Gowin i Mateusz Morawiecki. To ludzie z establishmentu III RP, w dwóch przypadkach mający dobrą pozycję w świecie poprzedniej władzy. PiS nie zerwie z negatywnymi mechanizmami funkcjonowania państwa, takimi jak klientelizm, centralizm czy biurokratyzm. Od tego pierwszego jest uzależniony, a dwa pozostałe postrzega jako warunki dobrego rządzenia.

Co więcej, PiS przez lata wypracował sobie pozycję dominującą w sferze symbolicznej. Sprawił, że nawet przeciwnicy poruszają się po jego obszarze. Można dziś sformułować przesłanie generalne: jeżeli nie będzie innej narracji o sensie historii Polski i sensie współczesnych postaw obywatelskich, to wojna na poziomie mobilizacji i dostarczania sensu zostanie przegrana. Jeżeli mamy do czynienia z grupą młodzieży niezadowolonej, odczuwającej pozorność narracji liberalnej, to zapytajmy: kto – poza prawicą – dostarczał młodym poczucia sensu? Nikt tego nie robił. To było wielkie zaniedbanie. Poprzestawano na przekonaniu, że jeśli premier coś mówi, to ludzie go słuchają i wierzą mu. To samo dotyczy szkoły i jej programów.

Tymczasem, moim zdaniem, ta nowa opowieść, jeśli ma mieć sens, musi zostać zdecentralizowana. Historia Polski jest znacznie ciekawsza z bliska,

niz kiedy się o niej opowiada, patrząc tylko z perspektywy Warszawy czy Krakowa. Historia musi być opowiedziana przez pryzmat podstawowego wyzwania, z jakim będzie się zmagало następne pokolenie, czyli wyzwania modernizacji. Polskie zmagania z modernizacją, zwłaszcza w wymiarze zdecentralizowanym, są bardzo ciekawą, nieopowiedzianą historią. Jeśli przynajmniej część z nas się za to weźmie, to być może w następnych debatach politycznych pojawią się nowe argumenty z poziomu metapolityki, które pokażą także perspektywę zmian w tej podwodnej części góry lodowej, w państwie codziennym.

Bartłomiej Sienkiewicz

Defekty naszego państwa

Dzisiaj często, zwłaszcza w środowiskach lewicowych, powtarza się tezę, że państwo polskie odwróciło się od obywateli. To doprowadziło do buntu i do rządów Prawa i Sprawiedliwości.

Źródeł owego buntu lewica upatruje w strukturze społecznej „postfolwarcznej”. Jednak za taką diagnozą stoi przeświadczenie, że kiedyś był dobrostan. To znaczy istniała homeostaza między państwem a obywatelem. Załamanie zaś tej równowagi doprowadziło do wycofania się obywateli z własnego państwa. Mam co do tej diagnozy zarówno wątpliwość, jak i sympatię. W zachowaniach między obywatelem a państwem reproduujemy określone kategorie kulturowo-społeczne o charakterze długiego trwania. W Europie mamy trwający od 150 lat eksperyment społeczny, w którym grupa obywateli próbuje innych nauczyć szacunku do prawa, państwa i jego reguł. Mam na myśli Włochy. Od półtora wieku – od chwili zdobycia Sycylii w 1870 roku – próbuje się przetransferować tamtejsze państwa na południe. Uruchamiane są gigantyczne środki, aby wyrównać poziom życia i świadomości obywateli państwa włoskiego na południu i na północy. Z jakim efektem? Południe powoli zdobywa Włochy. Dlatego nie lekceważyłbym kategorii kulturowo-społecznych. I w takich kategoriach chętniej mówiłbym o zaborach i strukturze zależności utrwalonej w świadomości Polaków jako o problemie państwa polskiego. Niektórzy uważają, że 27 lat wystarczy, abyśmy się nauczyli, w jaki sposób powinno

funkcjonować państwo. Nie nauczyliśmy się? Mamy zatem głupie społeczeństwo. Nie zgadzam się z taką diagnozą.

Nie tylko Polska ma problem z państwem. W naszym kręgu cywilizacyjnym państwa stają się coraz słabsze: utraciły kontrolę nad informacją, przepływami finansowymi, bezpieczeństwem czy ruchem granicznym – co jest szczególnie wyraziste w Unii Europejskiej. Innymi słowy, niezmiennie funkcje państwa w długim procesie zostają „wymywane”. Rewolucja w dziedzinie informacji to tylko przyspiesza i powoduje, że państwa stają się coraz bardziej defensywne. Jednym z elementów jest proces buntu przeciwko państwu, spowodowany pęknięciem logicznym. Podkreślam, to, przez co przechodzi państwo polskie, nie jest czymś wyjątkowym, ale jest częścią większego procesu. Należy o tym pamiętać, niezależnie od odmienności lokalnych uwarunkowań.

Stworzyliśmy państwo z osłabioną władzą wykonawczą, to znaczy podzieloną między premiera i prezydenta, jakby nasze historyczne doświadczenia lokowały nas na zachód od Irlandii. Tymczasem od 200 lat w polskiej historii oczywiste jest jedno: państwo polskie powinno mieć silną i sprawną władzę wykonawczą, niepodzielną, o jasnych i wyraźnych kompetencjach. Kiedyś – jako minister spraw wewnętrznych – z ministrami spraw zagranicznych i obrony narodowej analizowaliśmy, jak w sensie formalnoprawnym wyglądałoby w Polsce wprowadzenie stanu wojny. Okazało się, że konstrukcja naszego państwa uniemożliwia szybkie, adekwatne do sytuacji wprowadzenie instrumentów prawnych pozwalających na postawienie państwa w stan wojny. Gdybyśmy stali przed taką koniecznością, trzeba by było posługiwać się różnymi erzacami, omijając prawo. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego: Ukraina toczy regularną wojnę, którą się nazywa „operacją antyterrorystyczną”, więc cierpi na podobne schorzenie. Ten przykład pokazuje, że w samej strukturze państwa jest zawarty błąd, który dzieląc władzę wykonawczą, stworzył konstrukt niezrozumiały czasami nawet dla jego użytkowników. Oto kolejny przykład: cała konstrukcja państwa polskiego okazała się możliwa do wysadzenia

za pomocą jednej ustawy. I to się stało. Ustawa o Trybunale Konstytucyjnym *de facto* unieważniła prawo w Polsce, to znaczy zdała prawo na łaskę rządzących. Mamy problem konstrukcyjny, którego nie można ominąć, a którego konsekwencje będą bardzo poważne.

Są też inne konsekwencje tego rozbicia. Państwo to struktura hierarchiczna. Kluczowe jest centrum decyzyjne. Otóż w Polsce centrum decyzyjne jest – formalnie – kolegialne. Chociaż w wyniku kolejnych reform zostało obudowane instrumentami kanclerskimi, to nadal premier ma ograniczone zdolności wprowadzania własnej woli politycznej zgodnie z prawem. Każdy, kto obserwował z bliska proces podejmowania decyzji w kluczowych kwestiach politycznych, wie, ile wysiłku i problemów się z tym wiąże. Protest jednego ministra konstytucyjnego może w gruncie rzeczy zahamować czy też sparaliżować podejmowanie decyzji. Centrum decyzyjne jest silne tylko wtedy, gdy za nim stoi naga siła polityczna, która zwykle jest emanacją osobowości politycznej. Przypomnę rządy Leszka Millera, Jarosława Kaczyńskiego i Donalda Tuska. Wtedy to centrum posiada zdolność działania poza procedurami, czyli poza tym, co jest konfiguracją prawną. Jednak zdobycie takiej zdolności wymaga dramatycznego wysiłku i walki o włos od przegranej. Centrum trzymane krzepką dłońią przez Donalda Tuska doprowadziło do wprowadzenia reformy emerytalnej, co było początkiem końca Platformy Obywatelskiej. Podjęto decyzję z myślą o tym, co się będzie działo za kilkadziesiąt lat, jako próbę reakcji na zmieniające się otoczenie konkurencyjne. Ten moment pokazał, jak niewielka jest możliwość sterowania nawą państwową, kiedy na stole leży kilka poważnych problemów. Sterowność tej maszyny w jej dotychczasowej konstrukcji jest ułomna.

Jeśli chodzi o centrum – wydaje się złudzeniem, że można stworzyć zespół wybitnych mózgów, który będzie oddziaływał na politykę. Polityka wzywa wybitne mózgi, jeśli ich potrzebuje, ponieważ istotą państwa jest polityka, a nie zespół ekspercki, który ją tworzy. Zespoły eksperckie nie tworzą polityki, a tylko wypełniają jej zapotrzebowania. Ta reguła dotyczy

nie tylko Polski, ale wszystkich krajów. Pamiętamy triumfalny pochód „blairyzmu”, który zaczął się od zamówienia przez Tony’ego Blaira konkretnych analiz przygotowujących jego zwycięstwo. A nie odwrotnie: to nie *think tanki* przysły do Blaira. Tak naprawdę największym ekspertem władzy wykonawczej jest ktoś, kto dzierży władzę wykonawczą i ma zdolność dopuszczania do siebie innej wiedzy. W tej konstrukcji zawsze wygrywa polityka.

Wróćmy do bilansu ostatnich 27 lat. W 2004 roku średnia liczba przestępstw popełnianych w Polsce w ciągu jednego dnia to było 4000. Po 10 latach, czyli w 2014 roku, średnia liczba dziennych przestępstw w Polsce spadła do 2500. Kryminolodzy doskonale wiedzą, że nie ma jednej przyczyny, która decyduje o wzroście bądź spadku przestępczości. To zawsze ciąg przyczyn: wzrost zamożności, stabilność społeczna itd. Jest też policja, która się szkoli i dobiera kadry. Ten ciąg najlepiej opisuje drogę, jaką przechodziło państwo polskie, w żmudnym i niezadowolającym nas wszystkich tempie doskonaląc swoje narzędzia. To trwa. Jest też ból, który odczuwają niektórzy z nas: poczucie zerwania ciągłości państwa, które właśnie tą drogą tworzy swoją przyszłość, czasami opornie, czasami z problemami. To państwo wygrało wojnę z gangami, nie mordując ich członków, jak na Ukrainie, tylko wsadzając do więzienia, co jest osiągnięciem końca lat 90. Na przykładzie bezpieczeństwa widać, jak działa państwo: to jest zawsze proces, który się składa z wielu elementów, gdzie ciągłość i trwałość są cechami niezbywalnymi. A co się dzieje w momencie, kiedy większość obywateli traktuje to państwo jako „Obcego, ósmego pasażera Nostromo”? Dopóki nie gryzie, tylko gdzieś tam jest, dopóty nie musimy się nim przejmować.

Moim zdaniem przez 27 lat nie wykonaliśmy elementarnej pracy edukacyjnej, pozwalającej ludziom wchodzącym w dorosłe życie zrozumieć podstawowe reguły. Jestem ojcem czwórki dzieci, przerabiałem program „Wiedzy o społeczeństwie” w czterech różnych przypadkach i mogę powiedzieć, że to jest absolutna katastrofa edukacyjna. Jeśli ktoś sobie nie

wyobraża, jak głupio można uczyć dzieci o własnym państwie, to zapraszam na jakiegokolwiek zajęcia WOS. Nie mówię o założeniach programowych, bo one być może zdają egzamin z punktu widzenia ministerstwa, ale praktyka jest dramatycznie zła. Nauczyciele mają stosunek do własnego państwa taki, jaki mają, i nie są tu wyjątkiem, tylko pojmują państwo jak reszta obywateli, i tego uczą nasze dzieci.

Jednak to nie poziom edukacji sprawia, że w tej chwili mamy problem z państwem. Problem jest inny: nie ma powrotu do przeszłości. Co zrobimy dalej? Mamy państwo, w którym nie ma prawa i które jest oparte na woli jednego człowieka. Czy po zmianie politycznej będzie mogło działać w obecnych ramach? To niemożliwe. Nie można też wrócić do tego, co było przed 2015 rokiem. Stoimy na progu konieczności zaprojektowania państwa polskiego na nowo, w warunkach politycznych, które są w tej chwili nieoznaczone. Optymalnym warunkiem politycznym byłaby przegrana PiS-u, a następnie wciągnięcie tej partii do wspólnej rozmowy. Jeśli tylko jedna z dwóch stron sporu kulturowo-politycznego będzie co jakiś czas powoływała swoje państwo na nowo, to będzie koniec naszego państwa, a w dłuższej perspektywie także koniec Polski. Albo znajdziemy porozumienie i zdołamy stworzyć *modus vivendi*, by można było zaprojektować na nowo rudymenty państwa polskiego. Albo będziemy się pogrążyć w spirali, co na końcu przyciągnie o wiele poważniejsze nieszczęścia niż te, z jakimi mamy do tej pory do czynienia.

Kazimierz Michał Ujazdowski

Instytucje i ludzie

Przed kilkoma laty jeden z moich francuskich przyjaciół, sympatyk republikańców i zagorzały gaullista powiedział: „Polityk musi być *contre*. Jeśli nie jest gotów sprzeciwiać się, popada w rutynę i godzi się z bylejakością. Jeśli godzi się z tym, co słabe, nie formułuje innowacji, jest kompletnie nieużyteczny”. W odniesieniu do własnej partii powiedział: „Jeśli moja partia się nie zmieni, jeśli nie będzie otwarta i nie będzie się wciąż odświeżała, Marine Le Pen zatryumfuje we Francji”. Największym zaniedbaniem jest zatem niezdolność do ciągłego odświeżania myśli i do krytycyzmu. Odnoszę wrażenie, że duża część elit społecznych w Polsce nie ma zdolności do krytycznego myślenia o wolnej Rzeczypospolitej. Obawia się bowiem, że głoszenie krytycznych opinii wspiera radykalizm i populizm. Tymczasem w moim najgłębszym przekonaniu zależność jest odwrotna. To rutyna, pasywność, niezdolność do krytycznego myślenia produkują radykalizm.

Zastanawiając się, co udało się zrobić w Polsce po 1989 roku, zbyt często zapominamy, że w większości przypadków te osiągnięcia były dziełem zdeterminowanych mniejszości. Z pewnością tak stało się w przypadku reformy samorządowej z 1990 roku. Jej przeprowadzenie w nowej formule nie było oczywiste. Przypomnę, że całkiem na poważnie rozpatrywano wtedy wariant zarządzania demokratycznych wyborów do rad narodowych jako alternatywy dla rekonstrukcji samorządu

terytorialnego. Przeważało zdanie zdeterminowanych rzeczników odbudowy tej instytucji. Na szacunek zasługuje też śmiałość Akcji Wyborczej Solidarność, która zdecydowała się na poszerzenie decentralizacji państwa. W świetle tamtych decyzji praktyka polityczna PO i PiS-u zasługuje na surową ocenę. W 2005 roku obie partie zmarnowały okazję do zawarcia proreformatorskiego sojuszu. Od tamtego czasu żadna z nich nie podjęła planu naprawy państwa, a PiS zamienił program reformatorski na destrukcyjne działania.

Minimaliści, którzy usprawiedliwiają zaniechania w tej sferze, powołują się zazwyczaj na rzekomo uniwersalne doświadczenie kryzysu państwa w świecie Zachodu. Myślę jednak, że gdyby po dzisiejszej Polsce podróżował Alexis de Tocqueville albo ktoś o porównywalnie byстрыm umyśle, to dostrzegłby zasadnicze napięcie między energią polskiego społeczeństwa a niską jakością instytucji państwowych. Przyznam, że dla mnie dojmującym doświadczeniem było wysłuchanie audycji radiowych z udziałem bezrobotnych Polaków w Wielkiej Brytanii. Pytano ich: „Czy wróciłbyś do kraju?”. A kiedy zaprzeczali, dopytywano o powody: „Dlatego, że administracja socjalna w Wielkiej Brytanii ma empatię – szuka mi pracy. Jeśli wrócę do kraju, nie spotkam się z tego rodzaju empatią” – mówiono. Czy to jest tęsknota za ideałami lewicy? Nie wydaje mi się. To jest po prostu oczekiwanie pewnego standardu. Niestety, pogodziliśmy się z rzeczami, które są sprzeczne z wzorcami kultury zachodniej. Pogodziliśmy się z brakiem elementarnego ładu w przestrzeni publicznej, z nieistnieniem standardów prawa pracy w wielkich sieciach handlowych, z wieloma innymi przykładami niskich standardów.

W planie „makroinstytucjonalnym” trzeba odnotować brak planowania strategicznego, niezdolność do realizowania polityk inteligentnych, które wymagają zintegrowania kilku resortów, m.in. brak polityki imigracyjnej (imigracja ukraińska jest całkowicie spontaniczna i nie spotyka się z przemyślaną polityką państwa). Mamy prawo protestować

przeciwko destrukcyjnym działaniom Prawa i Sprawiedliwości, ale nie można za pozytywny punkt odniesienia przyjmować rzeczywistości sprzed 2015 roku. Wiele wad ustrojowych rozwijało się wcześniej przy zgodzie rządzących, choćby dzika polityka kadrowa w spółkach Skarbu Państwa czy niska transparentność instytucji publicznych.

Kolejna kwestia to Konstytucja z 1997 roku. W debacie publicznej wskazuje się na jej wady. Dziś jednak w obliczu naruszania Konstytucji nie ma warunków do jej autentycznej reformy. Ponadto część wad ustrojowych można przewycięzać bez zmiany Konstytucji. Zintegrowanie procesu legislacyjnego jest możliwe bez sięgania po reformę samej Konstytucji. Gdyby premierzy chcieli zbudować instytucje przewyciężające resortowość rządu i pozwalające panować nad legislacją! Żaden z nich tego nie uczynił. Ponadto mamy od wielu lat pasywną i wtórną politykę europejską. Zazwyczaj dopiero w ostatniej fazie, z mocnym opóźnieniem zajmujemy stanowisko w unijnym procesie decyzyjnym. To musi rzutować negatywnie na interesy polskich przedsiębiorców i obywateli. W tej dziedzinie modernizacja również nie wymaga zmiany Konstytucji.

Wreszcie pogrzebano „pakiet demokratyczny”, który wprowadzał cywilizowane formy kontroli nad rządem i zwiększał transparentność procesu legislacyjnego.

Jaki jest plan na przyszłość? Kluczowy wydaje się wyższy poziom ambicji elit społecznych, które powinny więcej wymagać od każdej władzy, także tej, której przyjdzie rekonstruować ład po PiS-ie. Chodzi nie tylko o przywrócenie rządów konstytucyjnych, ale o gruntowaną naprawę polskiego życia publicznego. Alternatywa dla PiS-u nie może żywić się nostalgią za dawnym stanem rzeczy. Musi łączyć przywiązanie do cywilizowanych zasad ustrojowych, w tym równowagi konstytucyjnej, z odpowiedzią na istotne słabości polskiego państwa. Nowa wizja nie może powstać na gruncie tej wersji doktryny liberalnej, która udzielała odpowiedzi tylko na pytanie, czego państwo nie powinno

robić, i pozostawała obojętna na społeczną odpowiedzialność władzy publicznej. Opozycja musi zapowiedzieć, że nie skorzysta z instrumentów ustanowionych przez PiS, odwoła się do osób, które są w stanie zbudować niezależność TK, w miejsce dzisiejszej niepewności wprowadzi stabilną służbę cywilną, zerwie z dzikimi praktykami obsady stanowisk w spółkach Skarbu Państwa, ustanowi rzetelne kryteria dostępu do służby publicznej dla ludzi młodych i nie pozwoli na istnienie obszarów krzywdy społecznej.

Na koniec jeszcze jeden wątek francuski. Kiedyś miałem możliwość rozmowy z nestorem francuskich konstytucjonalistów Pierre'em Avri-lem. Zapytałem go: „Kocha Pan IV Republikę?”. Odpowiedział: „Tak, bardzo kocham ten czas, bo to był czas wspaniałych ludzi, a to upadło wskutek złych instytucji. A teraz? Teraz kocham V Republikę, bo nie ma i nie będzie już wielkich przywódców, ale mechanizm konstytucyjny nie pozwala na to, aby nasza polityka zeszła na niższy poziom”. Musimy mieć ambicje nie tylko zbudowania instytucji na długie lata, które podnosić będą poziom polityki polskiej.

Dyskusja

Michał Boni:

Jako panaceum na myślenie strategiczne polityki przedstawiono Rządowe Centrum Studiów Strategicznych lub jakąś podobną jemu instytucję. Tymczasem żyjemy w czasach niezwyklej dostępności wiedzy, chociażby możliwości korzystania z zasobów dostępnych w internecie. Można w każdej chwili utworzyć panel ekspercki *on line* i prosić o poradę, ale u polityków potrzebne jest odpowiednie nastawienie: zaufanie, niepatrzenie z góry na ekspertów, chęć uczenia się od nich i otwartość na myślenie strategiczne. Niestety jest, że szczególnie po 2004 roku (po osiągnięciu wspólnego celu, jakim było wejście do UE) cechą większości polityków stało się myślenie w kategoriach jednej kadencji i nastawienie wyłącznie na wygrywanie wyborów (podejście marketingowe). To kwestie ważne dla polityki, a niekoniecznie dla rozstrzygania długoterminowych problemów. Ten sposób myślenia o polityce zabił możliwość szerszego spojrzenia. Dlatego chcąc przeprowadzić reformy, trzeba to robić w pierwszym roku, by sobie nie zaszkodzić podczas kolejnych wyborów – tak się mówiło do czasów PO. Obecnie, w czasach populizmu, o prawdziwych reformach w ogóle nie ma mowy.

Istota problemu leży jednak gdzie indziej: trzeba umieć sięgnąć po wiedzę i umieć sobie wyobrazić, jakie są wyzwania dotyczące przyszłości.

Wspomniano tu dokument *Polska 2030*, który takie wyzwania pokazywał. Tylko dzisiaj jesteśmy coraz dalej od rozumienia wyzwań w świecie dzisiejszej polityki. Nikogo nie interesuje np. uczeń idący do szkoły 1 września 2017 roku. On wyjdzie ze szkoły w roku 2029, a będzie po studiach w roku 2033, więc pytajmy, co ten uczeń będzie miał wtedy do zrobienia na rynku pracy i w ówczesnym świecie. Jak będzie pracowała jego świadomość? Jaką będzie miał tożsamość? Jakie będzie miał umiejętności, kompetencje, postawę? Jak będzie się adaptował do świata i gospodarki? Zgadzam się, edukacja jest kluczowa dla rozumienia świata.

Potrzebna jest też lista błędów poprzednich rządów. Nie zgodzę się natomiast z poglądem, że w kręgu Donalda Tuska pracowali tylko i wyłącznie specjaliści od PR. Pracowało tam wielu ciekawych i inspirujących ekspertów. Warto też kiedyś podyskutować o tym, co wtedy się udało, bo udało się całkiem sporo – nie deprecjonujmy tego.

Ludwik Dorn:

Chciałbym odnieść się przede wszystkim do relacji eksperci–politycy. Bartłomiej Sienkiewicz podkreśla, że polityk jest największym ekspertem w sprawie polityki. Odwołam się do osobistego doświadczenia z czasów rządów AWS. Marian Krzaklewski jako ówczesny naczelnik państwa czy Jerzy Buzek jako premier nie mieli wielkiego doświadczenia w polityce. Dokonane przez nich cztery wielkie reformy – przede wszystkim wielka reforma samorządowo-administracyjna, ustawa o działach administracji samorządowej – to był efekt licznych seminariów, tak jak przy reformie Prus przeprowadzonej w latach 1807–1808 przez Heinricha Friedricha Karla vom Steina. Innymi słowy, było poczucie, że Polskę trzeba zmieniać na lepsze, bo ona ma być inna. Natomiast spersonalizowane centrum decyzyjne w osobach Jerzego Buzka (i Mariana Krzaklewskiego) nie bardzo wiedziało, w jaki sposób można zmienić kraj. Eksperti sami się wprosilili, dostarczając efekty swoich

wcześniejszych prac, co było ważne przy słabości intelektualnej ówczesnego AWS-owskiego centrum decyzyjnego. Nie mówię tutaj o Unii Wolności, bo Leszek Balcerowicz wiedział, czego chce, ale po jego odejściu z rządu pojawiła się pusta przestrzeń.

Namawiam, aby robić seminaria. Co więcej, utrzymywać kontakt z ewentualnymi kandydatami na Machiavellowskiego księcia: być w roboczym kontakcie, żeby mieć ścieżkę, aby w pewnym momencie się wprosić. Ów książę może bowiem pojawić się, kiedy już będzie bardzo niedobrze w państwie, to znaczy mechanizm działania politycznego i motywacji musiałby się zmienić wbrew regułom, zwłaszcza po 2004 roku, po tym okresie smutku spełnionego marzenia. Dobrze oczywiście, by pojawił się książę, który sam z siebie będzie wiedział, co robić, bo sam byłby uczestnikiem takich seminariów, jakie nam się marzą...

Joanna Kluzik-Rostkowska:

Problematyczne jest czekanie na sytuację, kiedy się ma „nóż na gardle”. W moim modelu idealnym im bardziej odpowiedzialny jest polityk, tym mniej potrzebuje „noża”, żeby podejmować trudne decyzje. Jeśli polityk myśli perspektywicznie, to nie czeka na kryzys. Bywa to oczywiście ryzykowne z punktu widzenia bieżących interesów politycznych. Bartłomiej Sienkiewicz przywołał reformę emerytalną jako przykład działania odpowiedzialnego, podjętego „bez noża”. Okazała się ona dla rządu Platformy Obywatelskiej początkiem sporych kłopotów. To po pierwsze.

Po drugie, polska polityka jest ciągle „resortowa”. Każdy minister widzi wyłącznie swoją dziedzinę i współpraca – bez względu na to, czy ministrowie się dogadują, czy nie – jest trudna.

Po trzecie, eksperci w rządzie. Kiedy przygotowywałam ustawę o rodzi-

kiedy szykowałam reformę dotyczącą nowoczesnych form przedszkolnych, zaprosiłam organizacje pozarządowe, a kiedy przygotowywałam się do funkcji ministra edukacji, to przez rok współpracowałam z ekspertami od edukacji. Efekty były naprawdę świetne, w dodatku miałam wsparcie ze strony zainteresowanych i solidne argumenty dla krytyków. Najmądrzejszy dyrektor departamentu z najbardziej ambitnym ministrem nie są w stanie tego zastąpić. Uważam za bardzo ważne, aby polityk wiedział, iż każdy praktyk ma więcej wiedzy, a polityk jedynie instrumenty, by to doświadczenie dobrze wykorzystać.

Bartłomiej Sienkiewicz:

Nie zgadzam się z Michałem Bonim, zakładającym istnienie jakiegoś konstruktu teoretycznego, któremu na imię „państwo”, a który musi być izolowany od złej polityki. Jego zdaniem nieszczęście polega na tym, że od 2004 roku politycy zaczęli pragnąć wygrywać wybory za wszelką cenę. Ale to jest istota ustroju, w jakim żyjemy. W demokracji w wolnych wyborach wygrywa się politykę, a ona rządzi. Ustrój państwa, gdy nie bierze tego pod uwagę i nie potrafi tej wielkiej namiętności wepchnąć w ramy instytucji prawa i procedur, będzie przegrany. Dotykamy tutaj źródeł tego, co się stało w Polsce po wyborach w 2015 roku. Obecny kształt państwa polskiego, łącznie z jego Konstytucją i prawami, nie znalazł zdolności okiełznania żywiołu polityki. Ten żywioł wylał się z państwa, niszcząc je jednocześnie – bo to, że odbywa się proces niszczenia państwa, nie ulega dla mnie wątpliwości.

Jako specjalista od państwa teoretycznego chcę zwrócić uwagę, że państwo resortowe nie jest wyłącznie przypadkiem polskim. Taka choroba trawi wszystkie państwowości, na różnym oczywiście poziomie. Jeśli mówiłem o słabości centrum decyzyjnego, a także o pewnej słabości konstrukcyjnej, np. kolegialności Rady Ministrów, o zapisach konstytucyjnych, które to centrum ograniczają, to dotykamy w gruncie rzeczy tej kwestii. Jeśli zatem mamy myśleć o przyszłości, o polepszeniu

państwa polskiego, to musimy myśleć w kategoriach polityczności, sensownie wcielonej w centrum decyzyjne i starannie obudowanej procedurami i prawami. Dopiero takie centrum może być wiarygodne dla ludzi. Niewiarygodne, bezradne centrum państwa polskiego jest czymś, co kompromituje to państwo. W takiej sytuacji nie można się dziwić, że nadciąga rodzaj rewolucji czy kontrrewolucji, która ma pokazać, że możliwy jest inny świat w innych kostiumach.

Ostatnia kwestia – Prawo i Sprawiedliwość. Typ polityczności, jaka ta partia reprezentowała, wykluczał (i nadal wyklucza) jakąkolwiek zdolność pobierania pomysłów przez inne strony politycznego sporu, nawet takich, jak wspomniany przez Kazimierza Michała Ujazdowskiego „pakiet demokratyczny”. Trudno kooperować w sytuacji, kiedy się jest „zdrajcami” i „targowiczami” – ta retoryka miała i ma wpływ na zdolność do współpracy w sprawach państwowych.

Włodzimierz Cimoszewicz:

Wróć do kwestii świadomości prawnej, o której mówił Bartłomiej Sienkiewicz, podkreślając, na przykładzie Włoch, znaczenie uwarunkowań kulturowych. Można przytoczyć inne przykłady: w przeszłości narody nie powstawały jako wysoce szanujące prawo i nie kierowały się wysokim poziomem kultury prawnej. Każdy jakoś uczył się właściwego stosunku do regulacji prawnych. Z powodzeniem. Rzeczywiście, istotne jest tutaj nauczanie wiedzy o świecie. Wszyscy przez ubiegłe lata, od 1989 roku, mogliśmy dużo więcej zrobić w tej sprawie. W świecie są przykłady tego, jak na szeroką skalę można obywateli przygotowywać, by mogli właściwie odgrywać swoją rolę w momencie osiągnięcia pełni praw politycznych, rozumiejąc, w jakim kraju żyją, jakie są wartości, zasady, pozytywne tradycje tego kraju, jakie są ich prawa, ale także obowiązki. To jedna z naszych klęsk.

To prawda, że obecnemu rządowi i większości rządowej udało się przy pomocy jednej ustawy podważyć wartość Konstytucji i całego systemu.

Jednak z faktu, iż jakieś prawo jest łamane, nie wynika automatycznie wniosek, że jest ono bezwartościowe. Przepraszam za trywialny argument: dziesięć przykazań jest od dwóch tysięcy lat łamanych znacznie częściej i bardziej konsekwentnie niż obecna konstytucja jedną PiS-owską ustawą. Nie oznacza to, że można przekreślić wartość tych zaleceń. Z naszego doświadczenia nie wynika konieczność stworzenia jakiejś nowej konstytucji, która się sama obroni – nigdy takiej konstytucji nie będzie. Musimy dojść do wniosku, że nie pozostawimy tutaj kwestii odpowiedzialności wobec historii i że za ten grzech nie pójdzie się wyłącznie do piekła, ale za kraty. Po prostu. I musimy mieć wspólne, społeczne, obywatelskie doświadczenie, które w przyszłości zniechęci do tego typu zachowań.

Aleksander Smolar:

Został tutaj postawiony interesujący problem cezury 2004 roku. Określone cele zostały zrealizowane, nie było innych, bo nasz rozwój był w dużym stopniu imitacyjny i nie potrafiliśmy później wytworzyć swoich celów, zwłaszcza w okresie kryzysu, kiedy formułowanie własnych celów jest istotne.

Dużo się tu mówi o ekspertach w sensie pozytywnym. Tymczasem w świecie zachodnim obserwujemy rewoltę przeciwko temu, co Hannah Arendt nazywała dyktaturą jednej opinii i jednej prawdy, bo w jakimś sensie jest ona sprzeczna z samą ideą demokracji. Populizm jest buntem przeciwko jednej prawdzie. Dzisiaj w większości krajów zachodnich podstawowy konflikt przebiega między elitami – czyli tymi, którzy posiadają wiedzę (ekspertami właśnie) – a masami. To autentyczny problem w czasie kryzysu. Masy uważają, że elity nie są w stanie odpowiedzieć na fundamentalne wyzwania. To w mniejszym stopniu dotyczy Polski niż krajów zachodnich, które przeżywały znacznie głębiej kryzys ekonomiczny.

Joanna Kluzik-Rostkowska:

Mam problem z cezurą 2004 roku. Mówiłabym raczej o roku 2015 jako ważnej granicy. W 2004 osiągnęliśmy pełnię: byliśmy w NATO i mieliśmy wielkie ambicje znalezienia się w centrum Unii. A zaczynaliśmy z trudnej pozycji: 18% bezrobocia, kobiety wypychane z rynku pracy w wieku 45 lat, brak polityki rodzinnej itd. Mieliśmy ambicje dobrego usadowienia się w Unii. Taką pełnię, taką sytość, takie znużenie tym, co dobre, zaczęliśmy osiągać w końcówce rządów Platformy Obywatelskiej. Jak pisał Machiavelli, jeżeli jakaś sytuacja ma miejsce, ludzie są do niej przyzwyczajeni, to wszystko idzie swoim torem. Ale kiedy nastąpi jedna zmiana – tą zmianą była przegrana prezydenta Bronisława Komorowskiego – natychmiast rośnie oczekiwanie kolejnych zmian i otoczenie się radykalizuje. Moim zdaniem w 2015 roku PiS odegrał nowy rok 1989, tylko postanowił nie powtórzyć ówczesnych błędów, czyli np. nie było Okrągłego Stołu. My dla PiS-u jesteśmy ówczesną stroną rządową, ale nie ma dyskusji, nie ma debaty, nie ma dopuszczenia do Polski budowanej teraz przez Prawo i Sprawiedliwość. Wszystkie inwektywy kierowane wobec elektoratu – bo nawet nie wobec polityków opozycji – to świadome dzielenie społeczeństwa i elit. Wstępem do 1989 roku były Okrągły Stół i dialog. Teraz PiS postanowił radzić sobie sam.

Bardzo trudne jest budowanie instytucji i myślenie w perspektywie kilkunastu lat. Jestem pytana, jaki Platforma będzie miała pomysł na edukację po PiS-ie. Trudno na nie odpowiedzialnie odpowiedzieć, ponieważ nie wiadomo dzisiaj, jak wielka będzie skala dewastacji.

Bartłomiej Sienkiewicz:

Pada zarzut, że podczas drugiej kadencji rządów PO nie było planu reformy Polski. Przypomnę, że nikt nie podnosił tej kwestii w kampanii wyborczej. Nie było żadnego zobowiązania politycznego ze strony

Platformy Obywatelskiej. A takie zobowiązania rodzą się nie dlatego, że ktoś je wymyślił – tu dotykamy związku między obywatelem a państwem – ale w wyniku presji obywatelskiej. Ważne kwestie polityczne w wyborach nie są wymyślane w gabinetach przez ekspertów, tylko rodzą się w wyniku realnych emocji społecznych. Jakie emocje społeczne były wtedy realne i wygłaszane publicznie? Owszem, te emocje były ukryte. Teraz to wiemy. Zarzut, że Platforma Obywatelska nie rzuciła swego losu na stos i nie spłonęła pięknie, dokonując fundamentalnych reform w państwie, jest chybiony, ale też po prostu niesłuszny z punktu widzenia obowiązujących reguł. Państwo polskie nie znajdowało się w absolutnym kryzysie. Przeciwnie, nigdy nie było tak stabilne, jeżeli weźmiemy pod uwagę zdolności rozwojowe. Dlaczego zatem w tym momencie mieliśmy dokonać wielkiej, mitycznej reformy państwa? To jest żądanie pozbawione realności politycznej.

Wspomnę jeszcze o problemie, przed którym dziś stoimy: emigracji, nie fizycznej, lecz mentalnej. Mamy z nią do czynienia w sytuacji, kiedy nic nas nie łączy z krajem, w którym mieszkamy, ani z jego instytucjami, ale nadal jesteśmy jego obywatelami.

Nie można się z Polski wymeldować, nie można przestać być Polakiem – jeśli mamy do czynienia z opresją, to wypchnięcie się z tego wielkiego pola, nacechowanego sentymentem, historią i naszymi emocjami, któremu na imię „Polska”, byłoby najgorszą rzeczą, jaką można zrobić. Mentalne wymeldowanie się z Polski i ucieczka od tego trudnego zakrętu, na jakim się znaleźliśmy – jestem od tego jak najdalszy.

Kazimierz Michał Ujazdowski:

Nie mogę się zgodzić się, że – jak głosi Bartłomiej Sienkiewicz – program polityczny jest wyłącznie produktem tego, co emocjonalnie odczuwane. W gruncie rzeczy to oznaczałoby absolutną kapitulację elit z poważniejszych zadań. Czy tego oczekują wyborcy? Nie sądzę. W ostatecznym rachunku obywatele oczekują odpowiedzialnych decyzji.

Bartłomiej Sienkiewicz powiedział też, że ze względu na stopień politycznego sporu niemożliwa była współpraca w jakiegokolwiek sprawie. Otóż były przykłady kooperacji, nawet w ostatnich latach przed 2015 rokiem, np. próba reformy spółdzielczości przeciw centralom związków spółdzielczych była inicjatywą ponad politycznymi podziałami.

Wskażę też na inny przykład. Chodzi o nowy rozdział w Konstytucji, poświęcony sprawom europejskim i dający państwu nowoczesne oprzyrządowanie, mające służyć aktywnej polityce w Unii Europejskiej. Ta rzecz była skończona wskutek współpracy posłów PiS-u i PO w lipcu 2011 roku. Niestety, wówczas premier Donald Tusk zablokował prace Sejmu i nie dopuścił do głosowania. Zrobił to w imię złej zasady, że nie można zrobić nic znaczącego z przeciwnikiem politycznym.

Namawiam, aby projektować politykę z większą ambicją i dla całej wspólnoty politycznej, a nie wyłącznie dla jednej strony sporu. Myślenie w kategoriach: „oni robią źle, my im odpłacimy pięknym za nadobne” usprawiedliwia to, że będziemy toczyć spór bez końca w warunkach destrukcji i konfrontacji, niedających żadnego produktu. Wiem, że to emocjonalnie trudne, ale polityka to nie jest zajęcie dla dzieci ani zajęcie łatwe, trzeba podejmować zadania trudne, także emocjonalnie.

Robert Matyja:

Chciałem powiedzieć o trzech rzeczach tytułem wyjaśnienia.

Pierwsza. Jeśli chodzi o relacje między politykami a ekspertami, to istnieje jeszcze czynnik pośredniczący. Polityk musi wiedzieć, jacy są eksperci, co i jak mówią, jak są uwikłani, ale powinien też posiadać coś, czego współcześnie wielu osobom brakuje, to znaczy zdolność objęcia całości, nie tylko danego wycinka, którym dany ekspert się zajmuje. Mówimy zatem nie tyle o roli ekspertów, ile doradców. Kiedy w 2011 roku zmieniło się otoczenie Donalda Tuska, śledziłem oficjalne wydruki. Może premier miał społecznych doradców, ale nie były to

osoby zatrudnione w KPRM z funkcją doradcy. Wiele się zmieniło od lat 90. minionego stulecia i ta zmiana sporo mówi o stylu rządzenia. To samo dotyczy sprawy RCSS – oczywiście, informacje są dostępne, ale przekształcanie ich na wiedzę i to w formacie dostosowanym do zainteresowań rządu jest osobną sprawą. Takiej wiedzy nikt inny – ani uniwersytety, ani *think tanki* – nie gromadzi. Co więcej, nie prowadzi się na jej podstawie zasadniczych kalkulacji interesu państwa.

Druga kwestia. Gdzie należy szukać naprawy? Sądzę, że raczej w sferze państwa „podwodnego”, czyli ukrytej części góry lodowej. To ta sfera czyni państwo nieskutecznym. Chociaż poziom kadr politycznych, ludzi, którzy obejmują funkcje rządowe, stanowi czynnik, jakiego nie wolno zaniedbywać.

Trzecia sprawa to właśnie mechanizmy selekcji. Moim zdaniem, zwłaszcza w przypadku młodego pokolenia, są nierzetelne i niesprawiedliwe. Nie pozwalają na wychwytywanie i promocję talentów. Wiele osób wyjeżdża dlatego, że nie mogą zostać w Polsce docenione. Często to właśnie słyszałem od moich studentów: chcę być sprawiedliwie oceniony jako pracownik. W Polsce, zwłaszcza na prowincji, decydują więzy społeczne, jakie ma moja rodzina, kim jest, co mi może załatwić. Podobnie działa klientelistyczny mechanizm w partiach politycznych. Jeśli zdecydowanie nie zmienimy mechanizmów selekcji – a to nie jest tylko w gestii rządu, większości, naczelnika państwa, tylko pozostaje w ręku wielu samodzielnych instytucji – nie będziemy mieli zdolności przytrzymywania talentów, ale też ujawni się problem reprodukcji. W wielu miastach w Polsce nie będzie już takich elit, jak te, które objęły władzę w latach 90., chociaż jestem daleki od ich idealizowania. Ale bez nich nie zbudowano by samorządu, nie wypełniono by ram ustrojowych dobrą treścią.

Bartłomiej Sienkiewicz:

Byłem współtwórcą Ośrodka Studiów Wschodnich. Znam pracę organiczną, która może się odbywać nawet w sytuacji totalnego sporu. Państwo jest bardziej rozrywane sporami niż zszywane pojednaniami.

Przez 400 lat mieliśmy starostów jako przedstawicieli państwa na najniższym poziomie. Oni byli naturalną transmisją do „podwodnej części góry lodowej”. Zaprojektowane przez Kazimierza Wielkiego państwo działało przez 400 lat. Ten sam schemat został powtórzony w dwudziestoleciu międzywojennym. Z niezrozumiałych i niejasnych przyczyn obecne rozwiązanie likwiduje państwo na poziomie powiatowym, a ze starostów czyni obieralnych urzędników jednej partii politycznej, bo w 80% są nimi członkowie PSL-u. To przykład braku ciągłości państwowej i popełnienia błędu, którego skutkiem jest to, że państwo realnie się kończy w jakimś odległym mieście wojewódzkim. Kto ma pilnować prowincję, z wielowiekową tradycją koteryjności, żeby nie powiedzieć językiem lewicy, z „folwarczną” relacją międzyludzką? To klasyczny skutek błędu państwowego, który moim zdaniem jest do naprawienia, kiedy wyjdziemy z klinczu, w jakim się znaleźliśmy w okresie rządów PiS-u. Nie ma możliwości powrotu do tego, co było. Jednak teraz znaleźliśmy się w pułapce. Popieram postulat o polepszeniu projektów państwowych, nawet dotyczących konstytucji i konieczności jej zmian czy uzupełnień, ale pamiętajmy o sytuacji, z którą obecnie mamy do czynienia.

Ludwik Dorn:

Kilka uwag polemicznych, przede wszystkim wobec Bartłomieja Sienkiewicza, bo tutaj widzę największe pola niezgody. Przemilczenie przez Donalda Tuska rekomendacji Michała Boniego, podobnie jak wspomnianego przeze mnie seminarium, nie może być tłumaczone brakiem obietnicy przebudowy państwa. Nikt nie mówił bowiem

o jakiś rewolucyjnych zmianach, ale skromniej: o proefektywnościowym zwrocie, jeżeli chodzi o centrum decyzyjne rządu. Mówienie o tym, że takie zapowiedzi nie zostały złożone w kampanii wyborczej, jest zwykłym unikami. W czasie wyborczym nie składa się zapowiedzi dotyczących systemu politycznego – bo on interesuje niewielu – ale polityk ważnych dla opinii publicznej. One bowiem, jak wiemy z historii systemów politycznych, dają „zasilenie” i możliwość działania. Stawiam hipotezę, że nie zrobiono zmian dotyczących funkcjonowania państwa, nie było wiadomo, jak one wpłyną na bieżącą politykę. Może spowodują dodatkowy kłopot. Zabrakło zatem nie tyle woli, ile chęci politycznej. Tym bardziej, że pojawiły się piski i wrzaski ministrów oraz podsekretarzy stanu, bo reforma tego typu burzyłaby ich świat.

Zgadzam się, że elementem odbudowy spójności jest znalezienie *modus vivendi* po odsunięciu PiS-u od władzy. Warunkiem koniecznym, ale niewystarczającym jest doprowadzenie do stanu, w którym dwie główne siły polityczne przestają samym sobie, a także swemu elektoratowi zgłaszać obietnice politycznej i społecznej anihilacji drugiej strony. To jest warunek wstępny. Przypomnę, że wspólne sejmowe porozumienie w sprawie spółdzielczości zniszczył PiS, natomiast dotyczące zmiany zapisów konstytucyjnych związanych z europeizacją polityki Polski zlikwidowała Platforma. W związku z tym jedyną drogą do odbudowy możliwości politycznych Rzeczypospolitej jest zaproponowanie, być może z pozycji siły, porozumienia. Nie może ono polegać na zasadzie: „poprzyjcie nas, bo my mamy władzę i mamy większość”, tylko musi prowadzić do zawarcia realnego kompromisu.

Zbyt słabo dostrzegamy, jak zbieżne są polityki PiS-u i PO – 500 plus to rozszerzenie i kontynuacja tego, co robiła Platforma pod koniec swoich rządów. Jeżeli chodzi o zwrot ku etatyzmowi w spółkach Skarbu Państwa, to jest kontynuacja z rozszerzeniem skali tego, co robił poprzedni rząd. Polski Fundusz Rozwojowy to rozszerzenie i wzmocnienie tego, co zaproponował Donald Tusk. Jeśli chodzi o politykę wschodnią, to

poza retoryką, są istotne zbieżności. Z Europą jest inaczej – PiS, Platforma i SLD miały ambicje wejścia do centrum decyzyjnego. Ta możliwość zniknęła w 2008–2009 roku, kiedy centrum decyzyjne w kształcie znanym nam w chwili wejścia do Unii w 2004 roku przestało istnieć. Sytuacja się zmieniła. Dlatego broniłbym daty 2004. Pod koniec rządów Platformy nie byliśmy w centrum decyzyjnym Unii nie z winy tej partii, ale w efekcie zaistniałej sytuacji.

Włodzimierz Cimoszewicz:

Można oczywiście postawić pytanie: czy nadmiernie nie koncentrujemy się na rozmaitych niepowodzeniach, klęskach, porażkach itd.? Czy w ciągu minionych lat, od 1989 roku, nie było osiągnięć? Nie uczestniczymy w „akademii ku czci”. Dobrze pamiętamy 2014 rok i międzynarodowe spotkanie na placu Zamkowym, związane z 25-leciem obchodów wyborów czerwcowych. To był kulminacyjny moment podsumowania sukcesów Polski, bo rzeczywiście zasłużyliśmy na wiele pochwał. Jednak potem był rok 2015, z wynikami jednych i drugich wyborów.

Wiemy, że w wielu krajach demokratycznego Zachodu występują podobne rebelie dużej części społeczeństw, zwrot antyestablishmentowy: przeciwko dotychczasowym elitom, programom, sposobom dotychczasowego rządzenia itd. Nie jest dziełem przypadku, jeżeli coś podobnego zdarza się po drugiej stronie Atlantyku, także w państwach tradycyjnie liberalnych, demokratycznych. To jest zagadnienie samo w sobie fascynujące, a sprowadzę je do jednego zdania – jestem przekonany, że zupełnie niezwykle, intensywne zmiany zachodzące w polityce, gospodarce, kulturze i obyczajach w skali światowej sprawiają, iż w wysoko rozwiniętych państwach część społeczeństwa, która ma większe trudności z dostosowaniem się do nowej rzeczywistości, traci poczucie bezpieczeństwa. W tych warunkach, z jednej strony, szuka się nowych punktów orientacyjnych i zwraca ku tym, którzy coś obiecują, a z drugiej – chętnie zwraca się ku przeszłości, którą pamiętamy

bardziej pozytywnie, optymistycznie jako bezpieczny czas. Z tego punktu widzenia rebelianckie nastroje, jakie pojawiły się w Polsce, dają się także pod ten wspólny mianownik podciągnąć.

Były jednak przyczyny dodatkowe. Indywidualne. W polskiej sytuacji o mniejszym, ale jednak dość istotnym znaczeniu. Jedną z nich to nieumiejętna polityka lewicy, która doprowadziła do tego, że nie zdołała ona wpłynąć korygująco na arytmetykę parlamentarną. Były poważne zaniechania PO – i tu nie chodzi o jakąś wielką rekonstrukcję państwa. W 2009 roku miałem okazję do dłuższej rozmowy z Donaldem Tuskiem. Mówiłem, że rozumiem ograniczenia w kadencji po 2007 roku, kiedy najpierw trzeba było łagodzić, uspokajać, poprawiać, a zbliżające się wybory mają swoją logikę ograniczającą. Ale – mówiłem – macie jako pierwsi szansę, by wygrać ponownie wybory; jeżeli zmarnujecie kolejne cztery lata, to wielką będzie wasza odpowiedzialność. Według mnie te cztery lata zostały zmarnowane – nie tyle z punktu widzenia wielkiej rekonstrukcji państwa, ile przygotowania i zaproponowania wiarygodnej oferty dla młodej części polskiego społeczeństwa, która stawała się coraz lepiej wykształcona i miała prawo oczekiwać, że państwo wesprze procesy modernizacyjne, zwłaszcza w gospodarce, pozwalające w pełni konsumować wyższe kwalifikacje tej części społeczeństwa. Niestety, niczego takiego nie zrobiono i wszyscy, nie tylko PO, zostaliśmy za to ukarani przez młodych wyborców w wyborach parlamentarnych.

Kolejna kwestia: co po PiS-ie? Jedną ustawą, oczywiście, nie uda się odwrócić wszystkim zmian. Można natomiast przygotować reformy, które by szybko likwidowały np. przyznanie służbom oszałamiających uprawnień, czy zmiany dotyczące rozmaitych instytucji. To można przygotować. Natomiast dostrzegam istotny problem: co zrobić z tak zwanym Trybunałem Konstytucyjnym? Uważam, że jedną zwykłą ustawą nie uda się unieważnić tego wszystkiego, co się wydarzyło i jeszcze wydarzy, bo przecież Trybunał w obecnym kształcie będzie

wydawał kolejne wyroki. Chcąc postąpić całkowicie legalistycznie, trzeba by dokonać konstytucyjnej zmiany dotyczącej Trybunału. Nie wiem, czy w wyniku następnych wyborów uda się wyłonić odpowiednią większość. Jeśli się nie uda, to będziemy w sporej kropce: czy tolerować bezprawie w miejscu mającym tak kolosalny wpływ na funkcjonowanie państwa, czy próbować wymazać to bezprawie przy pomocy innego bezprawia?

Na koniec słowo o projekcie rozdziału konstytucyjnego dotyczącego spraw europejskich. Byłem członkiem komisji Jarosława Gowina, która nad tym pracowała. Nie był to wielki sukces, ponieważ zaproponowano uregulowanie rozmaitych kwestii poza tymi, jakie tworzą prawną przeszkodę wejścia do unii monetarnej, w związku z czym wartość tej regulacji była dość wątpliwa. Kompromisy szły tak daleko, że eliminowały to, co najważniejsze.

Michał Boni:

Czas na konkluzje.

Po pierwsze, 2004 i 2015: i jedna, i druga data są prawomocne. Rok 2004: wejście do Unii zamykało okres konsolidacji wspólnego języka. Rok 2015: wyniki wyborów i następne wydarzenia zamykają okres od 1989 roku. Niszczą go – niszczą dorobek demokracji liberalnej. Nie ma racji Bartłomiej Sienkiewicz, mówiąc o żywiole politycznym, który okazał się silniejszy i musiał zdemolować państwo. Marketingowy styl uprawiania polityki po 2004 roku nie wytworzył (bo nie mógł) sił wewnętrznych państwa, broniących go przed populistycznym żywiołem polityki. Żywioł polityki (populistycznej) wygrał – bo myśmy przegrali! I nie umieliśmy twórczo rozwinąć państwa. Jest taka mitologia dotycząca reform – że nie opłacało się z nimi iść, bo zawsze są bolesne i trudne (jak mówi Sienkiewicz), i że nie było presji społecznej na nie. Pojawiały się różne głosy kładące nacisk na rozwój państwa obywatelskiego – tylko myśmy ich nie chcieli słyszeć. Były presje na zmiany

w edukacji i kulturze. Takich reform i odwagi ich wprowadzania – zabrakło. Zaczęliśmy sprawę składki wiernych na kościoły, i był taki moment, że mimo oporów – kościoły były gotowe. Ale to rząd zamknął sprawę pod głupią presją ministra finansów. A czy to była ważna sprawa (tak jak i prawa kobiet) – to dziś widać.

To jest bardzo poważny problem: umieć się inteligentnie rozliczyć z błędami. Teraz nie tyle czekamy na wygranie w kolejnych wyborach tej czy innej partii politycznej (lub kilku partii) i na zmianę. Trzeba będzie coś zrobić z obecnym okresem. Nie wolno używać określenia: „zlikwidujemy”, ale na pewno można mówić: „osądzimy”. Trzeba będzie szukać nowych rozwiązań prawnych, ale konieczne będzie osądzenie winnych. Trzeba jednak wiedzieć, że nie będzie powrotu do *status quo*, do cudownego państwa sprzed 2015 roku. Trzeba wiedzieć, że wycofaniu wszystkiego zła zrobionego przez PiS musi towarzyszyć naprawa błędów państwa – tego, jakie funkcjonowało od 1989 roku.

Po drugie, opowieść o Polsce. Brak wspólnej opowieści, przy szacunku dla wszystkich różnic, jest przyczyną porażki. Tożsamości, jakich poszukuje młode pokolenie, są zupełnie inne niż nasze. Badania od 2005 roku pokazują, że wśród młodych ludzi narastała zgoda na autorytaryzm i następuje zwrot w stronę radykalnych, *quasi*-nacjonalistycznych, często prowadzących wręcz do faszyzmu wzorców kulturowych i zachowań. Nie można tego pominąć, zignorować, „wyrzucić za burtę”. Trzeba się zastanowić, jakie błędy w ofercie tożsamościowej popełniliśmy my właśnie, pyszni naszą historią solidarnościową. To długie pokolenie, bo od 1989 roku do dzisiaj rządzą osoby wywodzące się z „Solidarności”, łącznie z Jarosławem Kaczyńskim. Młodzi mają poczucie: gdzie jest nasze przeżycie pokoleniowe, gdzie jest nasza historia? W Londynie, na emigracji? W ACTA? Gdzie? Wtedy szuka się substytutów – najpierw Powstanie Warszawskie czy obecnie Żołnierze Wyklęci. Nie umieliśmy ani zahamować wzrostu nacjonalizmu (edukacją, nie policją – choć trochę też), ani zbudować nowego etosu – przynajmniej

dla części społeczeństwa młodych. Dominowało liberalne przekonanie, że nie można ludziom wkładać nic do głów.

Czy można było mieć zobowiązanie wyborcze i plan? Wspominano tu już raport *Polska 2030*¹. Przywołam inny – *Młodzi 2011*². Gdyby wtedy zrobić to, co przewidywały rekomendacje raportu o młodych – poszlibyśmy w relacjach z młodym pokoleniem inną drogą. Dlatego nie chcę słuchać tych dyrdymałów, że żadne reformy nie były potrzebne i możliwe. Trzeba było intuicji strategicznej, a nie doraźności marketingowej w działaniu przywództwa politycznego.

Jedna rzecz okazała się ważna: podjęcie wyzwania demograficznego. Pomysł powstał, chociaż nie było żadnego zobowiązania wyborczego, np. zapowiedzi przesunięcia wieku emerytalnego (świadomie zresztą). A jednak dokonano tej zmiany. Niestety, tryb jej wprowadzania i brak dialogu społecznego w tej materii spowodowały, że tak łatwo było się z niej wycofać. A to była poważna reforma, w odróżnieniu od zmian OFE, które okazały się jedynie działaniem ratunkowym, machnięciem wiosłem, aby odpłynąć kawałek, aby woda nie nalała się do szalupy, w której się płynie. Zresztą było to głupie i złe rozwiązanie – mam czyste sumienie, bo do końca walczyłem przeciw skali tej destrukcji, ale szefostwo rządu było głuche.

Zmiana wieku wychodzenia z rynku pracy była bardzo ważna. Edukacja sześciolatków – zmiana nie do końca dobrze wprowadzona, jednak już ponad sto dwadzieścia krajów obniżyło wiek wejścia w edukację. Polska zaś jest jedynym, który go ostatnio podwyższył. Kolejne osiągnięcie PO – przygotowaliśmy budżet ministerstwa obrony, zakładający 2% PKB na wydatki obronne. Dzisiaj PiS chwali się tym w Europie, a jednocześnie wielki projekt dotyczący modernizacji polskiej armii jest wyrzucany do kosza. Są rzeczy, które się nie udały, ale jest też lista

1 *Polska 2030. Wyzwania rozwojowe*, red. Michał Boni, Warszawa 2009.

2 *Młodzi 2011*, red. Michał Boni, Warszawa 2011.

spraw, z którymi rządy PO–PSL dały sobie radę, przede wszystkim z zagrożeniami kryzysowymi.

Wróćmy do opowieści o Polsce, bo tutaj jest mnóstwo przyczółków, gdzie wydarzyły się ważne rzeczy. Społeczności lokalne budują swoją historię: historię swoich rodzin, budynków itd. Jadąc przez nasz kraj, można znaleźć w różnych miejscowościach aplikację, która daje pełną informację o tym, co tam warto zobaczyć. Tej wiedzy o miejscu, w którym mieszkamy, o jego przeszłości, nie było w okresie PRL-u. Środowiska lokalne były zamknięte na własną historię, wybierano tylko określone wątki, wygodne dla polityki. Moim zdaniem istotna jest opowieść o Polsce – nie tylko po to, by wygrywać wybory, wprowadzać reformy i planować rozwój w długiej perspektywie. Przeszłość jest ważna, gdy szuka się głębszego zakorzenienia dla polityk przyszłości. Ale tę opowieść o Polsce trzeba zacząć od ludzi i ich lokalnych środowisk.

Zgadzam się z Bartłomiejem Sienkiewiczem: wybory trzeba wygrywać. Tylko trzeba wiedzieć, po co. Kiedy się chce wygrywać, należy mieć szeroki pakiet do zaoferowania, a najważniejszy w nim jest obywatel i zwrot ku niemu.

Noty biograficzne

Michał Boni (ur. 1954) – polityk, socjolog kultury, specjalista od zarządzania zasobami ludzkimi, dr. Poseł do Parlamentu Europejskiego. W 1990 oraz od 1992 do 1993 roku podsekretarz stanu w Ministerstwie Pracy i Polityki Socjalnej. W 1991 roku minister pracy i polityki socjalnej. W latach 1991–1993 poseł na Sejm RP. W latach 1996–1997 dyrektor Instytutu Spraw Publicznych. Od 1998 do 2001 roku szef zespołu doradców ministra pracy i polityki społecznej. W latach 2009–2011 minister-członek Rady Ministrów i przewodniczący Komitetu Stałego Rady Ministrów. Od 2011 do 2013 roku minister administracji i cyfryzacji.

Włodzimierz Cimoszewicz (ur. 1950) – polityk, prawnik, dr. W latach 1993–1995 minister sprawiedliwości. W latach 1996–1997 premier RP. Od 2001 do 2005 roku minister spraw zagranicznych. W 2005 roku marszałek Sejmu RP. W latach 2007–2015 senator RP i przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych Senatu RP. Obecnie wykładowca Ośrodka Polityki Zagranicznej na Wydziale Prawa Uniwersytetu w Białymstoku.

Ludwik Dorn (ur. 1954) – polityk, socjolog i publicysta. Współpracownik Komitetu Obrony Robotników, a następnie „Solidarności”. Współzałożyciel i od 1992 roku wiceprezes Porozumienia Centrum. Współzałożyciel i w latach 2001–2007 wiceprezes Prawa i Sprawiedliwości. W 2010 roku członek Polski Plus. W latach 2011–2014 członek Solidarnej Polski. Od 1997 do 2015 roku poseł. W 2007 roku marszałek Sejmu. Od 2005 do 2007 roku wicepremier oraz minister spraw wewnętrznych i administracji.

Joanna Kluzik-Rostkowska (ur. 1963) – polityczka, dziennikarka. Pracowała w „Expressie Wieczornym”, „Konfrontacjach”, „Tygodniku Solidarność” i „Wprost”. Od 2000 roku kierowała działem gospodarczym tygodnika „Nowe Państwo”. W latach 2001–2004 zastępczyni redaktor naczelnej tygodnika „Przyjaciółka”. Od 2007 roku posłanka na Sejm RP. Od 2005 roku wiceminister,

a w 2007 roku minister pracy i polityki społecznej, w latach 2013–2015 minister edukacji narodowej.

Rafał Matyja (ur. 1967) – politolog i publicysta, dr hab. Wykładowca Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie. W latach 1992–1993 sekretarz Biura Programowego Rządu w Urzędzie Rady Ministrów. W 1993 roku sekretarz Komisji Wspólnej Rządu i Samorządu Terytorialnego. W latach 1997–2001 współpracował z pełnomocnikiem rządu Jerzego Buzka ds. reformy administracji publicznej. Od 2000 roku pracownik Wyższej Szkoły Biznesu – National-Louis University w Nowym Sączu, w latach 2003–2007 prodziekan tamtejszego Wydziału Studiów Politycznych. Wydał m.in.: *Państwo czyli kłopot* (Kraków 2009), *Rywalizacja polityczna w Polsce* (Kraków 2013), *Wybory 2014–2015 a przemiany elit politycznych Trzeciej Rzeczypospolitej* (z Błażem Sajdukiem, Kraków 2017), *Wyjście awaryjne. O zmianie wyobraźni politycznej* (w druku).

Bartłomiej Sienkiewicz (ur. 1961) – analityk, publicysta i polityk. Działacz opozycji demokratycznej. W latach 1990–2002 pracownik Urzędu Ochrony Państwa, współpracownik Krzysztofa Kozłowskiego i Andrzeja Milczanowskiego. Współtwórca i wieloletni wicedyrektor Ośrodka Studiów Wschodnich. W latach 2013–2014 minister spraw wewnętrznych i koordynator służb specjalnych.

Aleksander Smolar (ur. 1940) – politolog, publicysta. Prezes Zarządu Fundacji im. Stefana Batorego. Zastępca przewodniczącego Rady Naukowej Instytutu Nauk o Człowieku w Wiedniu. W latach 1971–1989 na emigracji politycznej. W 1974 roku współzałożyciel i redaktor naczelny kwartalnika politycznego „Aneks”. W latach 1989–1990 doradca ds. politycznych premiera Tadeusza Mazowieckiego. Od 1992 do 1993 roku doradca ds. polityki zagranicznej premier Hanny Suchockiej. Wydał m.in. *Tabu i niewinność* (Kraków 2010).

Kazimierz Michał Ujazdowski (ur. 1964) – polityk, prawnik, dr hab. Poseł do Parlamentu Europejskiego. Wykładowca na Uniwersytecie Łódzkim. W latach 2000–2001 i 2005–2007 minister kultury i dziedzictwa narodowego. Poseł na Sejm w latach 1991–1993 oraz 1997–2014. Wicemarszałek Sejmu w latach 2004–2005. Wydał m.in.: *Batalia o instytucje* (Kraków 2008), *Geneza i tożsamość Konstytucji V Republiki Francuskiej. Studium doktrynalno-prawne* (Kraków 2013), *Polityka ambitna. Wybór publicystyki 1990–2013* (Kraków 2014).

Fundacja im. Stefana Batorego wydała m.in.

Polskie dylematy. W 80. rocznicę urodzin i 10. rocznicę śmierci Jacka Kuronia (2014); publikacja poświęcona strategiom działania do 1989 roku: roli rewizjonistów i protestom w Marcu '68, powstawaniu opozycji demokratycznej, „Solidarności” i samoorganizowaniu się społeczeństwa poza strukturami władzy, przemianom po 1989 roku i ich ocenie, poszukiwaniu nowej tożsamości kulturowej i historycznej w ostatnim 25-leciu oraz stosunkowi do III RP pokolenia, które weszło w dorosłość po 1989 roku.

Nieważne głosy, ważny problem. Raport z badania kart do głosowania z wyborów do sejmików województw 2014 (2016); publikacja omawiająca przyczyny wyjątkowo dużej liczby głosów nieważnych, które padły w wyborach samorządowych w 2014 roku, oraz rekomendacje zmian mogących zapobiec podobnym problemom w przyszłości.

Co wolno opozycji i dlaczego jest potrzebna? Uprawnienia opozycji parlamentarnej, Paweł Marczewski, Dawid Sześciło (2017); publikacja poświęcona roli opozycji w systemach demokratycznych oraz uprawnieniom, jakimi ona dysponuje w wybranych państwach europejskich.

Partie polityczne a jakość polskiej demokracji, Paweł Marczewski (2017); publikacja poświęcona partiom politycznym, ich obecnym dysfunkcjom, stosunkowi obywateli do współczesnych systemów politycznych oraz temu, jak zreformować partie, aby dobrze służyły demokracji.

Pod lupą obywateli – standardy, regulacje i praktyka wyborów na wysokie stanowiska publiczne, Łukasz Bojarski, Grzegorz Wiaderek (2017); omówienie obywatelskiego monitoringu naboru na wysokie stanowiska państwowe – członków Rady Polityki Pieniężnej, Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, Rady Mediów Narodowych, kolegium Instytutu Pamięci Narodowej oraz na stanowisko prezesa Instytutu Pamięci Narodowej.

Finanse polskich partii, Grażyna Bukowska, Adam Gendźwiłł, Jacek Haman, Adam Sawicki, Jarosław Zbieranek (2017); publikacja pokazująca różne źródła publicznych pieniędzy na działalność partii, a także podsumowująca doświadczenia z obowiązującym w Polsce systemem finansowania partii politycznych, partyjnych komitetów wyborczych, biur parlamentarzystów i klubów parlamentarnych.

Recydywa centralizmu? Zmiany w polityce państwa wobec samorządu po 2015 roku, Dawid Sześciło (2018); analiza najważniejszych dla samorządu terytorialnego zmian legislacyjnych z ostatnich dwóch lat.

Fundacja im. Stefana Batorego

Sapieżyńska 10a

00-215 Warszawa

tel. (48-22) 536 02 00

fax (48-22) 536 02 20

batory@batory.org.pl

www.batory.org.pl

Publikacja poświęcona funkcjonowaniu państwa polskiego po 1989 roku: od lat 90. po okres rządów Platformy Obywatelskiej oraz Prawa i Sprawiedliwości. Michał Boni, Włodzimierz Cimoszewicz, Ludwik Dorn, Joanna Kluzik-Rostkowska, Rafał Matyja, Bartłomiej Sienkiewicz i Kazimierz Michał Ujazdowski przedstawiają osiągnięcia, ale także problemy w jego działaniu. Zastanawiają się również nad najważniejszymi wyzwaniami, wynikającymi zarówno z ogólnych zmian społecznych, technologicznych i kulturowych, jak i działań obecnego rządu, podważających wiele dotychczasowych założeń funkcjonowania państwa, w tym trójpodział władzy czy niezawisłe sądownictwo.

ISBN: 978-83-65882-15-8